Cena 5 zł.

# ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 26 sierpnia 1945 r. | Nr 39

KAZIMIERZ BRANDYS

# W łunach pałosu

Historia powstaje z wydarzeń i z wniosków, które z nich czerpie myśl ludzka. Logika wypadków istnieje niezmiennie, ale nie zawsze i nie dla wszystkich jest oczywista doraźnie, w chwili ich narastania. Czas układa fakty w koniecznej kolejności — my przenikamy ich hierarchię; tryumfy i pogromy, załamania i sukcesy następują po sobie w toku na pozór nieskoordynowanym — my wykrywamy ich związki. Rok temu płonęło niebo nad Podwalem, Krzywym Kołem i Wąskim Dunajem. „To niemieckie miotacze ognia" — mówiono wtedy na podwórzach Powiśla, nie przeczuwając historii tych chwil. Niemieckie miotacze, czołgi typu „Tygrys", eskadry „Junkersów". Potężna siła ognia spychała załogę Starego Miasta na wciąż węższą przestrzeń. Niebo płonęło tam coraz szerzej i krwawiej wśród niskich dymnych chmur. Te chmury nie były na deszcz, nie na pogodę te łuny. Chłopcy z granatami w ręku ginęli w cieniach bram i osuwali się na bruk bez skargi na swój niepojęty los. Nikt nie mógł im wytłumaczyć dlaczego i za co giną. W tych dniach nie było miejsca na historię. Rozsadzała je nienawiść, groza, gasnące resztki nadziei i rozpacz. Król z mieczem i krzyżem przestał pochylać się nad miastem z wysokiej kolumny. Spotkała go powstańcza dola: osunął się na bruk, nie wypuszczając broni z ręki. Słyszałem wtedy na Solcu: „Nie ma kolumny Zygmunta". „Biuletyn Informacyjny" wyjaśniał, że Niemcy niszczą Stare Miasto, aby mieć wolną rękę na Modlin. Król Zygmunt zagradzał im tę drogę. Nie było w tych dniach miejsca na historię. Głupcy trudnili się kłamstwem, bohaterowie bronili barykad. Lud Warszawy nienawidził Niemców.

Nie chcę być dziejopisem tych dni. Przeczuwałem klęskę powstania. Ale wówczas, na Solcu, w dniach obrony Starego Miasta i Powiśla zachowywałem się niehistorycznie. Kochałem bohaterstwo żołnierzy. Zasłaniałem oczy przed głupotą wodzów. Gdy powalono kolumnę Zygmunta, nie chciałem wątpić, czy istotnie było to konieczne dla obrony wolności. Jeden z tysięcy ludzi dobrej woli — broniłem się jak wszyscy przed myślą, że warszawska ofiara z życia i krwi mogła pójść na marne. Powstanie Sierpniowe było ciężką próbą dla rozsądku. Każdy z nas poniósł klęskę naiwności w tych dniach uniesienia, na wieść, że chłopców z Powiśla uznano za kombatantów w wielkich zmaganiach narodów o wolność. To był niemały honor, te łuny warszawskie. Sześcioletni łącznik „Orzeł", osobnik z zadartym noskiem, który jeszcze w lipcu bawił się w Indian na ulicy Solec, w sierpniu został ogłoszony oficjalnie uczestnikiem światowej wojny o pokój. Ale jego stosunki rodzinne nie uległy przez to zmianie: na oczach plutonu dostał w skórę od matki za samowolny udział w nocnym wypadzie szturmowym. Na ulicy Solec nie umiano myśleć historycznie.

Srogi wstyd za winy dowództwa, które popchnęło gimnazjalistów warszawskich do wojny z Trzecią Rzeszą, ciążył na nas w tych dniach. W końcu lipca, przed wybuchem, gdy handlarze złotem, spacerowicze i przekupki oglądali się z podziwem za warszawskim chłopcem w długich butach, który z plecakiem szedł przez Nowy Świat na wyznaczony punkt bojowy, 17-letni podchorąży Andrzej wyznał mi, że nie ma wiary w zwycięstwo. Miał zbiórkę przy ulicy Polnej. „Pójdziesz?" — zapytałem patrząc na jego szczupłą, chłopięcą rękę, w którą nazajutrz miano wetknąć karabin. „Przysięga" — uśmiechnął się, trochę zawstydzony tym słowem, które brzmiało uroczyście. Byłem od niego starszy o dziesięć lat. Mogłem mu powiedzieć: „Nie idź". Ale oznaczało by to: „Złam przysięgę". Nie powiedziałem tego. Padł pierwszego dnia w szturmie na „Stauferkaserne", skoszony serią cekaemu. Kula nie ugodziła go w serce. Śmierć z poszarpanych jelit nie nastąpiła łatwo. Umierał dłużej niż jego towarzysze i miał szczęście czy nieszczęście konać na rękach matki, której zdążył szepnąć do ucha: „Będziecie mieli Wolną Polskę". Tylko znawcy tajemnic konania mogliby rozsądzić, ile w tym było goryczy, a ile nadziei.

Powstanie zaczęło się pogodnie. Niebo nad Tamką było czyste, gdy megafon na rogu Topieli obwieścił komunikat z głównej kwatery Führera: „Napór nieprzyjaciela między Siedlcami a Warszawą trwa". Tłumy wyległy na spotkanie wolności, która wydawała się tak bliska. Od wylotu Dobrej wlókł się ponury patrol. Była czwarta minut piętnaście. Żandarmi zerkali niespokojnie spod hełmów. Mały gazeciarz gwizdnął przeraźliwie na palcach i zapiał: „Deutschland kaput!". Rozległ się śmiech i wrzawa. Patrol skręcił w Topiel. Stałem przed megafonem, patrząc na dziewczęta w kolorowych sukienkach, które powinny były spieszyć się do domu. Przez tłum przecisnął się chłopak w berecie i dotknął ramienia dziewczyny z walizeczką w ręku, która stała obok mnie: „Za pół godziny początek". „Dobrze" — odpowiedziała poważnie, patrząc mu w oczy. Była ładna. Jasne włosy spadały jej na plecy. Wyglądało, że umawiają się na schadzkę. Za pół godziny mógł zacząć się jakiś film o miłości, na który będą patrzeć przytuleni, trzymając się za ręce. Któż śmiałby przypuścić, że jeszcze tego dnia ona może owinie bandażem jego skrwawioną głowę, jeśli niebacznie ją wychyli zza węgła kamienicy, pod którą go postawią z karabinem w dłoni.

Piątego dnia powstania ujrzałem ją na Solcu. Poznałem jasne włosy, wymykające się spod furażerki zsuniętej ślicznie, po warszawsku, z czoła i na bakier. Nie była siostrą miłosierdzia. Pełniła służbę łączniczki między wysuniętą pozycją na Solcu a dowództwem dzielnicy „Powiśle". Pas chlebaka przecinał jej pierś na skos. Upadła pośrodku bruku, trafiona jednym strzałem wyborowego strzelca, który czuwał na moście. Zdążyłem zapamiętać, że w ostatniej sekundzie podniosła, niby w nagłej trosce, obie ręce do przestrzelonej skroni. Niewielka kałuża krwi zakwitła na kamieniach. Wzdłuż Solca zapanowała cisza po tym celnym strzale. Ona leżała na wznak z rozrzuconymi rękami, z policzkiem przytulonym do bruku. Furażerka nie spadła jej z głowy, przyczepiona pewnie szpilką do włosów, po warszawsku. Ruszyłem na górę, aby parę mych myśli mogło zastąpić modlitwę za tę nagłą śmierć. Ale na schodach zatrzymał mnie pan Szarski, towarzysz z dyżurów przeciwpożarowych, który krzyczał coś, czego nie mogłem zrozumieć i wymachiwał papierem. Radosna wieść. Pan Szarski przeczytał w „Biuletynie", że Niemcy palą Aleje Jerozolimskie i ulicę Wolską, aby zabezpieczyć sobie drogi odwrotowe. Czołgi z frontu uciekają przez most. Biegniemy na strych. Z Pragi na Warszawę sunie, jeden za drugim, pięć „Tygrysów". Czekamy na resztę rozbitej armii niemieckiej, ale po tych pięciu czołgach pusto. „One idą na zachód" — mówi pan Szarski i zerka na mnie niespokojnie. „Tak" — potwierdzam — „Na zachód. Na Warszawę". — „No tak, na Warszawę. Na zachód" — broni się mój towarzysz. „Na Warszawę, na Stare Miasto" — powtarzam z okrutnym naciskiem. Pan Szarski blednie. Dowiaduję się, że mój sąsiad ma brata oficera, który walczy na Starym Mieście w szeregach Armii Krajowej. „Przepraszam pana" — pocieszam go. — „Te czołgi to może początek. Nic nie wiadomo. Jutro mogą się cofać na całej linii". Patrzymy na pusty most. Dziwnym przypadkiem ze strychu widać to samo miejsce mostu, w którym przed dziesięciu laty pewien szóstoklasista w granatowej czapce z sukiennym daszkiem stał przechylony przez barierę, namyślając się czy jednym skokiem w dół nie przeciąć cierpień uczniowskiej miłości. Ale międzywojennych Werterów czekały burzliwe przygody, wrześniowe łuny i nocne lęki przed warkotem motoru na ziemi i niebie. Przez most przewlókł się szósty czołg. Jego działo zdruzgocze nazajutrz narożną barykadę, wzniesioną przez najsmutniejszych bohaterów historii. Na drogach odwrotowych nie widać było odwrotu.

W tych dniach dalekich pożarów kawalerzysta, z którego rozkazu pchnięto chłopców, uzbrojonych w butelki i granaty przeciw czołgom, bombowcom i artylerii, zaczął zdradzać dalsze objawy głupoty i wydał sławne orędzie do oddziałów, operujących na prowincji. Ten dokument bezmyślności wzywał do marszu na odsiecz płonącej Stolicy tych wszystkich, którym udało się przetrwać w lasach najcięższe słoty i mrozy. Bór zwoływał zwierzynę do kotła na nieuchronną zgubę. Byle cywil, ignorant strategii i taktyki, rozumiał to, czego nie potrafił rozważyć naczelny wódz tysięcy młodziutkich szturmowców! Najwyższy zwierzchnik tych chłopców, którzy z jego decyzji ginęli na barykadach, aby nie łamać przysięgi, których siostry padały na skrzyżowaniach ulic, niosąc bezcelowe rozkazy na beznadziejne placówki, których rodzice znajdowali śmierć w ciemnym stosie gruzów warszawskich kamienic — zganiał oddziały leśne w krąg łun, rozpaczy i ognia! Po jakimś wieczornym apelu, na Powiślu rozchodzi się wieść, że tysiąc partyzantów z lasów nad Pilicą przedarło się do Mokotowa z armatą, zaprzężoną w parę wiejskich koni. Wierzący lud Warszawy cieszy się tą wieścią. „Proszę pana" — mówi do mnie na dyżurze pan Szarski — „Niedobra sprawa. Powstaniem nie kierują mądrzy ludzie". — „Co robić?" — odpowiadam i zwracam wzrok w tę stronę, gdzie jego brat walczy pod ognistym niebem, wierny rozkazom niemądrych dowódców.

Stare Miasto padło. Na Tamce lepiej teraz trzymać się ścian i przemykać się chyłkiem na skrzyżowaniach przecznic. W pierwszych dniach tylko panował tu spokój. Pogrobowcy staromiejskiego eposu obsiedli wnętrza bram, znużeni Odysseą w kanałach. Inni, weselsi, skaczą jak wróble na szczudłach lub okaleczonych nogach. Inwalidzi Krzywego Koła, skrzywdzeni rycerze Kamiennych Schodków, zawitali w gościnę do obrońców Topieli i Solca. Jeden z nich, w łaciatej bluzie ochronnej, krzyczy z daleka moje nazwisko. To „Rejak", kolega z jednej ławy, dawny towarzysz ideowego szlaku od szkolnej lewicy do lewicy prawdziwej. „Jak się masz?" — pytam, ściskając mu dłoń. Wzrusza ramionami w sposób, który może oznaczać obojętność wobec własnego istnienia. „A ty?". Śmieję się i wzruszam ramionami podobnie jak on. Obok nas dwie biało ubrane dziewczyny dźwigają na noszach rannego chłopca, który w gorączce sięga dłonią ponad głowę, i rozczapierza palce, jakby chciał komuś je w gardło wczepić. „Jak długo jeszcze?" — pytam, kiedy oni przeszli. „Wolałbym prędzej, jak najprędzej" — odpowiada mój towarzysz i patrzy gdzieś ponad moje ramię w pusty wylot Tamki zamknięty barykadą. „To awantura, nie powstanie. Kule wysyła się na Niemców, a cała gra o stawkę przeciw... Ty zresztą wiesz". Ja wiem i chcę zapytać: „jeśli tak, to dlaczego ty sobie tę rękę dałeś przestrzelić na zwiadzie" — ale on uprzedza moje pytanie i śmieje się prawie tak skromnie, jak podchorąży Andrzej, kiedy wymawiał słowo: „przysięga". Widzę na moment w jego oczach zacięty błysk honoru. Rozkładam ręce, żegnamy się. Cześć. Do widzenia. Został mi tak w oczach, surowy, wychudły, z ręką zwieszoną na temblaku. Pyszny i świadomy swej ofiary, a jednak — w swym bohaterstwie bezwiedny. Krewny wszystkim bohaterom Conrada w beznadziejnej walce o samotny patos.

Na domach powiewały wówczas biało-czerwone sztandary — bolesne złudzenia wolności. Okrakiem na oknie pierwszego piętra siedział chłopak w bluzie szturmowca i wygrywał „Warszawiankę" na złotym kornecie. Bywały czasem jeszcze senne warszawskie popołudnia, pełne upału i słonecznych pręg, w których wirował kurz. Na tę wolność wypełzała rozpacz z najciemniejszych piekieł, aby się ogrzać na słońcu i przysiąść pod murem, na którym chwiał się sztandar. Na schodkach przy Konserwatorium przycupnęły dwa cienie o strasznych, sinożółtych twarzach: Żydzi warszawscy. Nie mogą iść dalej, bo sił im brak. Zwłaszcza ona słania się, słabnie, szuka rękami oparcia i skarży się cichutko: „Umieram..." „Ona nie umiera, proszę pana" — tłumaczy mi mąż — „to wyczerpanie. Mało jedliśmy przez rok. Przestań płakać, nie umierasz jeszcze. Tobie się tylko tak zdaje". On jest aplikantem, ona dentystką. Dozorca na Dobrej ukrywał ich w piwnicy. Ciemność, głód i chłód pomieszały im trochę myśli i z początku nie mogli zrozumieć, czyje pociski przyniosły im to, co zrazu wydało się wolnością. Półcywilni żołnierze w beretach, to było dziwne wojsko. Aplikant zwierzył mi się, że wyszedłszy na światło nie mógł pojąć kim są ci żołnierze: Rosjanie, Anglicy? Ale potem zrozumiał łatwo: powstańcy warszawscy. Żydzi polscy nie mają trudności w rozumieniu tych słów. Powstanie — rzecz znana i prosta. Aplikant patrzy na mnie usilnie i wiem, że ten wzrok oznacza pytanie: co z nami będzie? Nie łatwo mi odejść od tych ludzi, którym srogi los ukazał tak straszne złudzenie. Gdyby mi był zadał to pytanie, nie umiałbym odpowiedzieć, bo cóż mogło czekać tych dwoje o twarzach sczerniałych w piwnicznym mroku, z oczami, w których żyły jeszcze wszystkie lęki ghetta i krwawych wielkanocnych dni? Pytam, czy nie potrzebują pomocy. „Nie, proszę pana. Mamy wszystko. Żywność, mieszkanie. Opiekują się nami. Teraz mamy wszystko". Wiem co oznacza to w jego ustach. Teraz — mają wszystko. Ale potem mogą stracić i to, co mieli przedtem. Oni zostają na schodkach, ja idę Tamką na Solec. Żydzi warszawscy w sierpniu 1944. Nad Placem Trzech Krzyży rozlało się krwawe niebo. Powstaniec w oknie przestał grać.

Na podwórzu śpiew. Pod kasztanami, przed kapliczką z Matką Boską, grupka ludu warszawskiego zanosi swe dzienne sprawy do nieba, zastygłego w chmurnej czerwieni nad dachami miasta. Pan Szarski spogląda z dyżurki i wiem, że miałby ochotę pomodlić się za brata, który nie przyszedł z Podwala. Chciałbym mu krzyknąć z dołu, i jakoś go pocieszyć, ale on patrzy smutno poprzez zieleń liści na modlących się ludzi i nie spostrzega mnie. Mały łącznik Orzeł modli się również, a jego blaszany hełm kołysze się, przytroczony do paska. Śpiewają razem z kolegą: „Boże w Trójcy niepojęty" i patrzą razem na stadko gołębi, które zrywa się z dachu, spłoszone świstem szrapnela. Kolega ma lat dziesięć i przybył ze Starego Miasta w stopniu kaprala. Pochodzi z ulicy Miodowej. Pierwszego sierpnia wysłano go do ciotki, na Stary Rynek, po kartofle. Tam przystał do powstańców. „Wyszedłem po kartofle" — opowiada mi po modlitwie — „a trafiłem do Wolnej Polski". Za chwilę obaj kombatanci odchodzą w kąt podwórza, aby spokojnie móc pograć w „obrazki".

Warszawo, Warszawo. Zawsze nieprzejednana, nigdy niezdobyta. Najbardziej tragiczna ze wszystkich podbitych miast, najbardziej skrzywdzona ze stolic. Te ulice nie po raz pierwszy doznają losów beznadziejnej walki. W roku trzydziestym dziewiątym ujrzały pierwszą krew, rozlaną w wielkiej wojnie o prawa człowieka i słupy dymu z pierwszych ugodzonych murów. To miasto nie pierwszy raz pozwala wyrywać kamienie z swych bruków i czerwony tramwaj przewrócić do góry kołami, aby dał osłonę walczącym chłopcom, którzy niedawno wskakiwali do niego w pędzie, gdy przelatywał, dzwoniąc, Książęcą i Dobrą. Na tych ulicach padły pierwsze strzały, karzące zbrodniarzy i zdrajców, nad tymi dachami rozgorzały wyniosłe łuny oporu żydowskiego w wiosennych dniach Zmartwychwstania. Warszawa. Miasto, które ściągnęło na siebie obłędną nienawiść gwałcicieli praw i rozpętało wściekłość przestępczych führerów, które wzbudziło podziw i miłość wszystkich polskich miast. A przy tym z tych ulic nigdy nie schodził uśmiech, dowcip i żart. „Ni z tęgo, ni z owego, będzie Polska na pierwszego" — krzyczał którejś z okupacyjnych zim mały andrus, sprzedający kurier na Marszałkowskiej. Myślałem o nim jak o jasnowidzu, gdy 1-go sierpnia powstańcy wciągali biało-czerwony sztandar nad bramę domu na Solcu. Śpiewano wówczas „Jeszcze Polska". Wbrew rozsądkowi, na przekór faktom, „ni z tego, ni z owego" była Polska na pierwszego. Pijak w dorożce na ulicy Kruczej, który wracał z pierwszej „rybki" wojennej, miał rację, śpiewając na całe gardło: „Siekiera, motyka, bimber, alasz"; okazał się zwycięzcą i dziś mógłby na trzeźwo stwierdzić, że „wojnę przegrał pewien malarz". Bo nawet pijacy warszawscy miewali jasnowidzenia. Warszawo, nigdy nieugięta. Widziałem wówczas kukiełki powstańcze w jakimś pustym garażu na Solcu, ulepione tymi samymi rękami, które wznosiły barykady Powiśla; śmieszną piosenkę o „pani Schronowej" śpiewał młody powstańczy baryton, a kolorowe figurki skakały, poruszane przez chłopców, którzy nazajutrz mieli oznaczony wypad pod filary kolejowego mostu. Warszawa umiała ginąć bez fałszywych gestów.

Łuny nadciągały coraz bliżej i osiadły wreszcie nad dachami Powiśla. Dom na Solcu, ugodzony parokrotnie, zaczął się palić od da-

chu, lecz pożar stłumiono w zarodku. Odłamek szrapnelu utkwił w ścianie dyżurki o cal od ramienia pana Szarskiego, który odtąd coraz częściej powtarzał z troską: „Niedobra, proszę pana, sprawa". Stolica broniła się samotnie wśród wciąż rosnących dymów, kamienice Powiśla zawalały się, grzebiąc w gruzach lud warszawski, który nienawidził Niemców, a „Biuletyn" ogłaszał radosne komunikaty z powodu wzięcia do niewoli trzech żołnierzy Wehrmachtu w restauracji „Cristal", na rogu ulicy Brackiej. Nieszczęsna prasa powstańcza! Gazetki spod faszyzujących znaków miotały gromy oskarżeń na Armię Czerwoną za zbyt powolną odsiecz. W porannym biuletynie rzucano obelgi na wojska radzieckie, które „złośliwie zwlekały" z przekroczeniem Wisły, aby w następnym witać z entuzjazmem meldunki o patrolach sowieckich na Siekierkach. Polskie radio w Londynie nadawało co wieczór chorał Ujejskiego „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej". Nieszczęsne radio londyńskie! Wielka armia zatrzymała się pod murami Stolicy, wyczerpana półtoramiesięcznym parciem naprzód w gigantycznej ofensywie na szerokim froncie. Sforsowanie Wisły i zdobycie miasta atakiem frontalnym było by dla niej zadaniem nad siły. Trochę rozsądku starczyło, aby to zrozumieć. Ale losy tego miasta trzymali w ręku ludzie, którzy nie chcieli uznać prawdy rozsądku, jeśli godziła w ich ambicje. Złośliwość! Dopatrywali się złośliwości we wszystkim, co stało na przeszkodzie w ich karkołomnej drodze do sławy, we wszystkim, co mogło się przyczynić do ujawnienia ubóstwa ich sumień. Dlatego nie oni, ale dowództwo sowieckie, kierujące największymi operacjami w historii wojen, miało ponosić winę za zniszczenie Woli i Starego Miasta. Ktokolwiek rozsądnie myślący był świadkiem 70-ciu dni zmagań Stolicy, ten nie mógł powstrzymać odruchu wściekłości na widok ogromu ofiar, krzywd i krwi, wylanej w najmniej potrzebnej bitwie tej wojny. Nadużyto w niej dobrej wiary ludu warszawskiego, który, popchnięty do walki o prestiż sztabowców ufał, że walczy o Polskę. Najmniej odpowiedzialny wódz w dziejach wojen i rewolucji stał w tych dniach na czele armii bohaterów; na barykadach i we wnękach bram bronił się wspaniały typ żołnierza, który o głodzie, bez snu, z resztką amunicji wytrzymywał napór żelaza i ognia — nieświadomy swego bohaterstwa. Chłopcy i dziewczęta szli na tę smutną wojnę po prostu i ufnie, jakby na romantyczną schadzkę w Alejach: „Za pół godziny początek". Za pół godziny miała rozpocząć się ich wielkość i tragiczny epos miasta, które kochali; za pół godziny miała się dokonać haniebna małość ich wodzów i krwawa ofiara ludu warszawskiego.

Lud Warszawy wierzył w zwycięstwo i ufał powstańczym wodzom. Bezmiar nienawiści do niemieckich morderców ludzi i praw dał mu nadludzkie siły wytrwania. Opór i wiara tego miasta zdawały się nieugięte. Wierzono w zwycięstwo. „Bór nie wydałby rozkazu, gdyby nie miał w ręku wszystkich kart". Nikt nie chciał dopuścić myśli, że ów dowódca, wydając rozkaz, zaniedbał karty rozsądku i przewidywania. Żaden wódz nie wygrał bez niej bitwy. Nikt nie chciał podejrzewać, że powstanie sierpniowe mogło być aktem ambicji grupy politycznej, która nie zawahała się rzucić na szalę nierównych szans tysięcy istnień ludzkich i ogromu dóbr, byleby uzyskać podstawy do objęcia rządów w Stolicy, oswobodzonej przez generała Bora przed wkroczeniem radzieckich sił zbrojnych. Prócz strony pogardy śmierci i gotowości ofiary, która czyni z bojów sierpnia i września najbardziej wzniosłą kartę bohaterstwa ludzkiego, historia musi zachować jej rewers — obraz ambicji i chciwości władzy. Stąd bowiem pada ostre światło na dziesięć rozpaczliwych tygodni osaczonego miasta, którego ster chwyciły niepowołane ręce i na losy ludu, który padł ofiarą fałszu i mistyfikacji. Zgliszcza Warszawy — oto cena, zbyt wielka jak zwykle, którą Polska opłaca błędy swych samowolnych władców.

Piątego września swastyka pojawiła się na Skarpie. Powiśle płonęło, złamane kilkudniowym szturmem. Nocne zorze paliły się jeszcze nad dachami, gdy grupka mieszkańców kamienicy na Solcu śpiewała po raz ostatni modlitwę: „Kiedy ranne wstają zorze". Dom był raniony parokrotnie pociskami czołgów. Oddziały opuszczały Tamkę, wycofując się w stronę Śródmieścia. Stałem z torbą, przewieszoną przez ramię, gotów do wymarszu za wojskiem. Żegnałem Powiśle, z którym złączyły mię te dni patosu i ognia. Nie chciałem iść jeszcze Niemcom w łapy, w nierozumnej nadziei, że Śródmieście potrafi lepiej się bronić niż Solec. Nie umiałem myśleć historycznie. Łącznik Orzeł płakał, żegnając się z plutonem. Z czytelni na parterze zdzierano tabliczkę z napisem: „Komenda Odcinka". Z bramy zdejmowano sztandar. Pan Szarski podbiegł ku mnie i złapał mnie za rękaw: „Co pan, co pan? Dokąd?". „W kierunku Śródmieścia" — wytłumaczyłem mu zwięźle. — „Na Mokotowską". „Na Mokotowską..." — powtarza pan Szarski — „ale jak, którędy, po co?" — „Podwórzami wzdłuż Tamki" — wyjaśniam. — „Powiśle padło. Dziś albo jutro przyjdą tu Niemcy". — „A ja?" — krzyczy pan Szarski — „co ja mam robić?" — Namyślam się chwilę. „Jeśli pan nie chce iść ze mną, to..." — rozkładam ręce, dając mu wolny wybór. „Nie" — szepcze i puszcza mój rękaw. — „Nie mogę już dłużej. Ja już nie chcę murów. Może nas w pole wygonią. Byle nie tu..." — Odchodzę w stronę przełazu, wybitego w murze. Szturm ustał. Oddalam się od łun Powiśla na spotkanie łunom Hożej i Żórawiej.

17-go stycznia roku 1945 huk zbliżającego się frontu zastał mnie w majątku Emilin. Zaspy śnieżne nie zagłuszyły stęknięć dalekich dział. Pewnego dnia wyruszyłem po mięso do miasteczka i tam nie zastałem już Niemców. „Wyszedłem po mięso i trafiłem do Wolnej Polski". Potem znów Warszawa: poszarpane wąwozy Powiśla, biały napis: „Polska zwycięży" na wypalonym murze Solca, zgliszcza uczelni, pomników i fabryk. I zawsze, wszędzie — oni, którzy padali na wznak, ostatkiem wzroku spoglądając w czerwone niebo warszawskie.

Historia składa się z wydarzeń, lecz zbytnia ich bliskość nie sprzyja trzeźwości wniosków. Dziś nie trudno wykryć przyczyny upadku powstania w skomplikowanym świetle taktyki i strategii, w ocenie rozsądku i inteligencji. Lecz wówczas, w tych dniach śmierci i łun, nie było miejsca na historię. Sąd o tych dniach warszawskich należy do nas, chłodna rozwaga jest naszą powinnością. Prawda o Powstaniu Sierpniowym musi przetrwać nie tylko jako obraz pamięci, ale jak groźna przestroga w historii narodu, który nie pierwszy raz dał się oszukać fałszywym przywódcom. Heroizm polski, żarliwość ludu polskiego, ufność w dobrą wolę wodzów znów padły ofiarą rozgrywek wstecznictwa. Powstanie warszawskie było niebywałą utratą energii i krwi. Tego nigdy nikt Polsce nie zwróci. Tylko historia może nam oddać wielką usługę trzeźwości i przekazać przyszłym pokoleniom jedyny pożytek tych dni: przestrogę dla ludu i wzgardę dla oszustów. Tylko historia ma prawo święcić Powstanie Warszawskie.

**Kazimierz Brandys**

**STANISŁAW HELSZTYŃSKI**

# Wieści z Pomorza Zachodniego

Ktokolwiek przed rokiem 1939 interesował się Pomorzem Zachodnim, nie mógł bez uczucia żalu i litości przejść do porządku dziennego nad losem wymierającego ludu pomorskiego, mieszkającego w pow. słupskim nad jeziorem Łeba i Gardno. Uczony rosyjski Hilferding, później Finlandczyk Mikkola, Meklemburczyk Lorentz, Polacy Parczewski, Rudnicki i Kisielewski kreślili nam dolę tych ostatnich Słowian, mówiących po kaszubsku względnie, jak oni to sami nazywali: po słowińsku.

Ze wszystkich relacji najbardziej przejmująca była chyba ta skarga nieznanej z imienia Słowinki ze wsi Gardna Wielka, która czuła się osamotnioną, otoczoną przez niemieckość, nie mającą żadnej żywej czującej duszy, która by rozumiała jej odrębne, inne słowiańskie serce, odczuwające potrzebę rozmawiania rodzimym językiem. Mówiła z żalem, skarżąc się Hilferdingowi:

— „Nynia naszo staroslowińsko wiaro zatopili. Wszetki nauczicele beli niemecko. Śme muszeli po niemecku weknąć. Mój chłop nie rozumeje nic po sloweńsku, a ja roda godaję po slowińsku, a nie mom nikogo."

Wyobraźmy sobie tę staruszkę w jej osamotnieniu, we wsi nieludnej, leżącej w okolicy smutnej, beznadziejnie melancholijnej, na wschodnim brzegu jeziora, w pobliżu morza. Jeśli miała dzieci, te nie mówiły zapewne po słowińsku, przeszedłszy szkołę niemiecką. Mąż, widocznie Niemiec, także mowy tej nie znał. A ona, ostatnia latorośl upartego, kaszubskiego, czującego po słowińsku rodu, tęskniła za dźwiękami swego języka, chciała go słyszeć, jak wibruje w powietrzu, jak nowe myśli i uczucia budzi w sercu, wskrzesza młodość, wiąże ją z jej przeszłością, z wymarłą rodziną, rodzicami, przodkami, treścią duchową jej duszy.

Zapewne, że we wsi Gardna byli jeszcze jej rówieśni, towarzysze młodości, którzy znali jej język. Mogła się z nimi spotykać, zamienić niekiedy parę słów. Cóż, kiedy ona chciałaby, żeby swą mowę ojczystą słyszeć zawsze, na codzień, dzień i noc, w swoich czterech ścianach, w piątek i świątek, przy pracy i odpoczynku. Wrażliwa była na urok mówionego słowa, miała iskrę bożą, cząstkę geniuszu rasy słowiańskiej — szczęśliwa byłaby, gdyby mogła zanurzyć się w potokach tej swoistej słowiańskiej mowy i wciąż w nich przebywać.

Z tęsknotą tą w sercu, nie zaspokojoną nigdy w zupełności, opuściła jej dusza nieszczęśliwą, ubogą, słupską ziemię.

Jej tragedię przeżywały tysiące, dziesiątki tysięcy starców i staruszek słowińsko-kaszubskich, nie tylko nad jeziorem Łeba i Gardno. Przypadek zrządził, że Hilferding w r. 1856 skargę tej jednej udręczonej duszy usłyszał i zapisał.

Ten sam ból, tragedię odosobnienia duchowego, pustki duchowej, głód dźwięków mowy słowiańskiej przeżywały na Pomorzu Zachodnim całe pokolenia starców i staruszek również nad jeziorem Jamno i jeziorem Więcko i jez. Bukowskim i nad tyluż rzekami, nad Prośnicą i Wieprzem, i Regą, i Słupą i Lupawą od w. XVIII począwszy, kiedy szkoła pruska, wprowadzona rygorystycznie, niemczyła dzieci i oddalała je duchowo od ojców i matek, czujących i mówiących po pomorsku, czy słowińsku, słowiańsku, kaszubsku.

Bo wszystkie te nazwy wyrażają jedną jedyną prawdę: społeczeństwo pomorskie, zwłaszcza lud wieśniaczy i rybacki Pomorza Zachodniego, jeszcze na początku w. XVIII był w trzonie swym słowiański i kurczowo się słowiańskości trzymał. Nieszczęściem jego było, że jego wodzowie, książęta i rycerstwo, ulegli wpływom niemieckim już wcześniej. Za nimi poszło duchowieństwo. Gdyby na terenie Pomorza Zachodniego kler był słowiański i utrzymywał szkoły, z których wychodzi pisarz, bakalarz, nauczyciel, światlejszy mieszczanin, urzędnik, opuszczenie ludu nie było by tak straszne. Fatalna nieznajomość własnych dziejów, brak warstwy oświeconej, tej którą dziś inteligencją nazywamy, przyspieszała niemczenie się górnych warstw społecznych.

Lud trwał siłą inercji przy wierze, obyczaju i mowie przodków. Lud kaszubski, słowiński. Nazwą Kaszubów określał się w poprzednich wiekach mieszkaniec nawet Wieligradu, dzisiejszej Meklemburgii, nadodrzanin szczeciński i białogardczyk i kołobrzeżanin. Z wypieraniem słowiańskości od zachodu przez wpływy niemieckie nazwa cofała się na wschód, ku Koszalinowi, Słupsku, Wejherowu, aż ostała się dziś na Pomorzu Wschodnim, by po wypadkach 1939 r. przeżyć renesans i ruszyć teraz w 1945 r., znowu na zachód, na rewindykację swoich obszarów.

Rok 1945 jest w ogóle rokiem zapoczątkowującym erę Kaszubów, Pomorzan, Słowian, całego tego szczepu nadbałtyckiego. To co nie dokonało się na stałe za Krzywoustego, dzieje się z nadwyżką właśnie teraz. Inkorporacja bezwzględna Pomorza Zachodniego, wynagradza tysiąckrotnie bóle geniuszu słowiańskiego, pokutującego do ostatniej chwili w sercach starców i staruszek nad jez. Łeba i Gardno. Skarga Słowinki z Wielkiej Gardny zostaje pomszczona, ból jej wynagrodzony. Pomszczony i wynagrodzony zostaje ból Doszy Grimieszki, żony Krastuna Josta, która w r. 1880 opowiadała Parczewskiemu, że kiedy „jej grosmama wumerła, w 1842, umarłej dano w sarg (czyli w trumnę) kancjonał słowiński, bo go już nikt wtedy czytać nie potrafił".

Ona sama, rzeczona Dosza, umiała jeszcze mówić po słowińsku. Przepowiedziała pięknym, dźwięcznym językiem, przypominającym tekst Bogurodzicy, tradycyjny święty pacierz: „Wojcze nasz, który jes w niebie, swiancono badzie imio Twoji — przijdze krolestwo — stani sa two wolo. Chleb nasz dej nom dziś, wopuszczaj nom nasze winie ako my wypuszczome nasze winowacy. Nie wodza nas na pokuszenie, la nas wabawnij wote zlewo. Won to jest to krolejstwo esz na wieki wiecznej, omenka".

Młodzi śmiali się z tych staruszek, wstydzili się kaszubszczyzny, drwili z rybaków-ojców, którzy trzymali się swej zabytkowej relikwi i choć nogi nie dopisywały, chodzili daleko do sąsiedzkich wiosek do kościoła, gdzie jakiś poczciwy „ksiandz", tak samo jak oni zakochany w mowie ojców, głosił kazanie po kaszubsku.

Tylko na jeziorze, na morzu, gdzie przedstawiciel władzy nie zaglądał, odzywali się towarzysze Doszy do siebie po słowińsku. Mowa ta była dla nich jakby znakiem tajnego bractwa. Dodawała jakiegoś uroku ich prostemu życiu. Fanatyczniejsi spośród nich twierdzili, a robili to tym uporczywiej, im bliżej grobu stali, że język ich wróci jeszcze do swej świetności, że Prusy całe z królestwa zamienią się na małe księstewko. Oni wiedzą, że tak będzie.

W roku 1911 naliczył prof. Rudnicki ok. 50 takich uparciuchów, trwających przy mowie swego szczepu i nie rezygnujących ze swej słowiańskości.

Jest rok 1945, lipiec. Czekam na auto, żeby pojechać na groby tych kaszubskich patriarchów i powiedzieć im, że wiara ich się spełniła. I na grób Doszy Grimieszki, że jej „Wojcze nasz" może rozbrzmiewać swobodnie, publicznie, nie po kryjomu, na całym Pomorzu Zachodnim.

I każę otworzyć podziemie kościoła w Smołdzinie nad jez. Gardno, żeby wydobyć z niego księgi religijne rzucone tam w r. 1874 przez księdza-Niemca, zacierającego ślady polskości.

Skarga Słowinki z Wielkiej Gardny musi być pomszczona tysiąckrotnie w pełnym wskrzeszeniu słowiańskości Pomorza Zachodniego.

# Artyści na Zachód!

Polski chłop, robotnik, inżynier, urzędnik, naukowiec zaczynają organizować życie w oparciu o polskiego żołnierza, który znów po stuleciach pełni straż nad Odrą i Nysą.

W szeregach maszerujących na zachód nie może zabraknąć również artystów, bowiem repolonizacja tych ziem i trwałe związanie ich z Polską może dokonać się w całej pełni jedynie przez zespolenie z polską kulturą i polską sztuką.

We Wrocławiu, Szczecinie, Lignicy i Gdańsku muszą powstać ośrodki artystyczne, skąd promieniowałaby polska sztuka.

Sprawa masowego osiedlania się polskiej ludności na ziemiach zachodnich jest najpilniejszym i naczelnym zagadnieniem państwowym. W rozwiązaniu tego zagadnienia, obok władz państwowych, obok Związku Ziem Zachodnich musi wziąć udział całe społeczeństwo przez związki zawodowe i organizacje społeczne. Dlatego też Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków szczególną uwagę poświęcił temu zagadnieniu, zwłaszcza, że wiąże się z nim problem odciążenia przepełnionych artystami plastykami miast, przede wszystkim Krakowa, gdzie nie można stworzyć normalnych warunków pracy dla przeszło 800 plastyków. Zagęszczenie tego rodzaju w jednym mieście, spowodowane pobytem na jego terenie Warszawiaków i Lwowian oprócz miejscowych artystów, przy równoczesnej próżni w innych ośrodkach, musi stwarzać niezdrowy stan i powodować duże trudności materialne dla artystów, a także hamuje dążenie do znormalizowania życia w miastach artystów pozbawionych.

Skutek jest taki, że w Krakowie większość artystów pracuje mało, albo wcale nie pracuje twórczo goniąc za każdym zarobkiem i mimo subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki nie może sobie stworzyć warunków normalnej egzystencji. A w miastach Śląska, odległych od Krakowa zaledwie o 100 km i mających z nim dobre połączenie kolejowe, jak Bytom czy Zabrze, nie było do niedawna ani jednego malarza czy literata, nie mówiąc o miejscowościach bardziej wysuniętych na zachód.

Na terenach tych rodzi się nowe życie. Wszędzie już widać nasz wysiłek organizacyjny i jego rezultaty. Nie może w nim braknąć także artystów. Artyści plastycy, a szczególnie w chwili obecnej graficy użytkowi i wnętrzarze, są koniecznie potrzebni dla nadania wyglądu estetycznego ulicom, wystawom sklepowym, świetlicom itp. Komisja artystyczna, w której skład wchodzą przedstawiciele Związku Plastyków, istnieje już i działa w Katowicach i dba o estetyczny wygląd miasta. Związek w Katowicach już okrzepł i spełnia swoje zadanie. Obecnie będzie pomocny przy repolonizacji terenów położonych bardziej na zachodzie. W Gliwicach powstała już ekspozytura Związku.

Wracam ze Śląska, który w ciągu tych kilku miesięcy zmienił zupełnie oblicze. Ulice uprzątnięto ze śladów walk, wystawy sklepowe naprawione i pełne towaru, olbrzymi ruch uliczny. Pojawili się ludzie pracy, pełni entuzjazmu i zapału, prawdziwi pionierzy. Ale prawie wszędzie brak polskiego artysty. Dlatego też ze wzruszeniem przeczytałem po przyjeździe do Gliwic na dawnej Wilhelmstrasse skromną wywieszkę: „Związek Zawodowy Polskich Artystów w Gliwicach". W Gliwicach byłem na wieczorze autorskim i koncercie zorganizowanym w prywatnym mieszkaniu. Garstka tamtejszych polskich inteligentów była niemal w komplecie. Ale to mało. Trzeba dotrzeć do wszystkich Polaków jacy tam są. Polski element, jaki tu się osiedlił i ten, który przetrwał stulecia germanizacji, czeka na polską sztukę, pragnie usłyszeć polskie słowo ze sceny, polskich poetów i pisarzy, polskich muzyków, pragnie zobaczyć polskie malarstwo.

Każda impreza artystyczna na Śląsku nabiera szczególnego znaczenia. Staje się pomocą tym, którzy tam pracują i dowodem solidarności z nimi całej Polski. Obowiązkiem naszym jest przyjść tym ludziom z pomocą i spełnić społeczną misję artysty. Pamiętajmy, że siedem wieków historii, w ciągu których zrobiliśmy wszystko, żeby te ziemie zaprzepaścić, patrzy na nas i oczekuje naprawienia starych błędów.

**Stanisław Teisseyre**

JULIAN PRZYBOŚ

MIEJSCE NA ZIEMI

STR. 164 CENA ZŁ 95

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

ADOLF RUDNICKI

# Dzienniki

## JÓZEFÓW

I

Mój przyjaciel, bankrutujący kupiec Seweryn B-l, do którego należał jeden z drewnianych domków w Józefowie pod Warszawą, rzekł do mnie:

— Przyglądam się tobie nie bez wyrzutu. Kiśniesz jak [illegible]. Od wielu miesięcy nie miałeś pióra w ręku. Nie przerywaj mi... Niezwykle przemyślnie brzmią powody, które przytaczasz. Nie wiem, co o nich sądzić, nie znam się na tym. Jedno widzę: Warszawa nie służy ci, — możebyś więc pojechał do Józefowa? Znajdziesz tam dużo lepsze warunki, żeby się skupić, — spokój, powietrze... Jechać, jeśli chcesz, możesz choćby i zaraz. Jest tam pokój z piecem, w szopie powinno się znaleźć trochę drzewa. Będziesz sobie mógł palić kiedy i ile zechcesz.

Była to nasza nie pierwsza w tym rodzaju rozmowa. Przeżywałem ciężkie sprawy na mojej drodze pisarskiej. Nic mi się nie udawało, — zbyt skomplikowane przyczyny, aby się nad nimi rozwodzić. Zresztą nie tu miejsce.

— W tej, za przeproszeniem, willi, — ciągnął Seweryn, — znajdziesz sąsiada. Krawczyk jakiś. Dwadzieścia sześć lat, twój rówieśnik. Z tego siedem w więzieniu. W Józefowie spędza teraz swój urlop zdrowotny. Gruźlica. Znasz Teresę, ciocię od więźniów? Pod koniec lata przychodzi do mnie: „Tylko mi daj klucz, więcej nic cię nie obchodzi“ I tak go wpakowała. Siedzi już trzeci miesiąc. Jakiś Joel, nazwisko takie, że się nie trzyma w głowie. W mojej przynajmniej. Widuję od czasu do czasu Teresę... Wyjazd ten — dokończył w tonie lekkiego uniesienia — w rezultacie może okazać ci się przydatny. U licha, tam na tym wydmuchu odchodzi kawał życia — i czemuż miałbyś go nie zobaczyć?

II

Józefów?

Józefów, to sosny i piasek. W pobliżu kolejki wąskotorowej piaski są takie, że noga po łydkę grzęźnie. Sosny oswojone są niejako przez parkany, pośród których stoją domki drewniane, brzydkie, jak wozownie. Jeszcze tylko na Bałutach spotyka się ten styl budownictwa. Fabrykanci łódzcy dla swych robotników stawiali szopy podobne do tych, jakie warszawscy drobni kamienicznicy i drobni kupcy, fryzjerzy i stróże pobudowali dla siebie. Pobudowali dla siebie, a kończyło się na tym, że sami tłoczyli się w jednej klitce, a resztę odnajmowali po słonych cenach zamożniejszym — latem, emerytom — zimą. Aby kapitał „odrzucał“

Z nastaniem lata zjeżdża się tu Warszawa. Przywozi zadymione płuca, nadszarpnięte nerwy, rondle i łóżka. Rozkłada pledy na chudej murawie, nastawia patefony, wydobywa karty do brydża i — zaczyna wypoczywać. Dla zupełności sjesty panny z Muranowa przytaszczają książki w skrzyniach, na dworcu tutejszym, podobnym do ptaka z rozpostartymi skrzydłami, zjawiają się fryzjerzy z Twardej wraz z brzęczącymi neseserkami, ukrywającymi blaszane pędzle i tanie mydło do golenia. Nowe siły chwytają Józefów w swe łapy. Duch handlu zmienia puste sklepy, jedne w sodowiarnie, inne w czytelnie, jeszcze inne w sale tańca z odpowiednio głośnym jazzem. Ruchliwy duch reklamy — przyrodni brat ducha handlu — ozdabia parkany i słupy ogłoszeniami o tanich, a wygodnych pensjonatach (pięciorazowy posiłek dzienny, smaczny i obfity!), o eleganckich fryzjerach, o precyzyjnych manicurach, o bezbolesnych pedicurach, o świetnych praczkach, o lodach we wszystkich gatunkach i smakach. Panny włażą w długie jedwabne spodnie, kształtniejsze w shorty. Długo oraz krótkospodnie poddają swe ciała gorącemu słońcu z pyszną brawurą dojrzałych kobiet. I tak oto miejscowość gładka jak stół, brzydka jak ulica Przeskok, zaczyna dźwięczeć życiem miłych rzeczy inaczej określanych tu na miejscu, ale tak właśnie wspominanych później.

Kwitnie Józefów latem i zrozumieć to należy pod każdym możliwym względem. Kwitnie i wre zarówno na dworcu podobnym do ptaka sposobiącego się do lotu, jak i w obrębie wszystkich parkanów miejscowych. Ruch trwa w dzień i w nocy. W południe megafony wołają zmysłowym wołaniem, które działa jak czad. Jednakże prawdziwy szał zaczyna się dopiero z nastaniem wieczoru. Wymizerowani, ziemiści muzykanci, ubrani na biało, wciągają murzyńskie maski o wargach czerwonych, jak sok malinowy i dają znak do rozpoczęcia obłędu, który chichocze w morderczym foxie, zawodzi w melodyjnym tangu, przynosi zamyślenie w dystyngowanym bostonie, pieni się w kujawiaku. Józefów żyje tylko przez dwa miesiące w roku, ale wtedy — jak się to nazywa w języku fachowców — żyje na sto dwa. Chociaż — jeśli szukacie ciszy, znajdziecie ją tu również. Pustynię w pobliżu kolejki wąskotorowej, tam, gdzie noga po łydkę grzęźnie, noc przemienia w rzekę srebrną. Brodzi się w tym srebrze, wiaterek igra, — delikatny jak muślin, podlega się lekkiemu drżeniu, wzrok biegnie ku niebu, które jest jak druga rzeka, oczy otwierają się szeroko, jak tylko mogą, serce dyszy świętem. Ale bez słów. To samą ciszę sączy ten jasny duży księżyc.

Nagle, — tak, odbywa się to w sposób dla każdego nagły, — już się nie widzi istot w długich i krótkich spodniach; rozsądnookie właścicielki czytelń wraz ze swymi filozoficznie nastrojonymi małżonkami zaczynają opróżniać półki; eleganccy renomowani fryzjerzy sięgają po zapomniany i dziwny szczegół mody — kapelusz i opanowanym subtelnym kroczkiem, znamionującym bon-ton, drobią w stronę dwuskrzydłej stacji; z kiosków wytaczają ostatnie syfony; po wymizerowanych bladych muzykantach ani śladu! Zaczyna się odwrót jakby w popłochu, popłochu nie widać, ale tym niemniej istnieje. Nawet ci, których pierwotnie ucieszyła nagła pustka, pakują się teraz pośpiesznie, olśniewa ich nowa myśl, że urlop da się właściwie całkiem dobrze zakończyć w okolicach placu Teatralnego. Już zapomnieli, że dopiero tydzień temu z zapałem uciekli stamtąd.

Józefów się kończy. Październik, jak październik, choć są to naturalnie tylko słowa. Nie ma trudniejszej pory. Słońce w październiku ma coś ze szlochu ludzi, którym zabrakło słów. W Józefowie niewiele jest drzew liściastych, jedynie w pobliżu stacji znajduje się trochę kasztanów i klonów, są i orzechy. Właśnie w październiku piękno ich osiąga granice nasyconej dojrzałości. I oto, co natura wyrabia ze swym dziełem. Wysiliwszy się, aby je wznieść do wyżyn, poczyna skubać gałąź za gałęzią. żywym pięknem zaśmiecać rowy i drogi. W listopadzie nie ujrzysz na ulicy naraz więcej, niż trzy osoby. Dobre maniery nie pozwalają im nawiązać znajomości. Milczą, ale czują wobec siebie ciekawość podobną tej, co psy wobec psów, jedne dzieci wobec drugich. Przypominają ostatnie egzemplarze rodzaju ludzkiego. W listopadzie i w grudniu, na stacji, podobnej do ptaka, w rannych godzinach kręci się kilka osób z podniesionymi kołnierzami i potupując nogami z zimna biegną to w jedną, to w drugą stronę. Wyjadą niebawem. Wrócą późną nocą, pobiegną szybko do swych domów, dadzą się obwąchać, obszczekać ugłaskanym psom, potem zamkną się na siedem spustów.

Latem Józefów jest na przestrzał otwarty, zimą zamknięty, odseparowany, jak gdyby u sąsiada panowała dżuma. Moc domów ma okna pozabijane. Stoją niezamieszkałe. Ale zarówno zaludnione, jak puste, przypominają fortece, które zerwały łączność ze sobą. Sklepik Walerego Posrebrzanego staje się jedynym miejscem, gdzie instynkt towarzyski, często skłócony z instynktem rodzinnym (choć oba ze wspólnego pnia wyrastają) może zaznać ulgi. Śmierć w mieście może znaleźć przeciwwagę w żywotności naokoło. W Józefowie zimowym, przeciwnie, trzeba było jej gorycz wypić do dna. Joel umierał w Józefowie w miesiącu grudniu. Nie wiem, czy Seweryn zdawał sobie sprawę, że wysyła mnie nie do chorego, lecz do konającego.

III

Miał nazwisko Filut. Nieco przesadne nazwisko dla człowieka z dziurami w płucach wielkości grochu. Umierał na żelaznym, zapadającym się łóżku, w pokoiku o zielonych ścianach i szklanych drzwiach z widokiem na młode sosny. Prócz łóżka, stało kilka prostych krzeseł, stolik nocny, stół, nieduża szafa, na ścianie wisiało mętne lustro w sczerniałych ramach. Drzwi na prawo prowadziły do salonu, czy też jadalni, która służyła za graciarnię dla rozmaitych sprzętów. Dalej mieścił się pokój zajęty przez stróża i jego żonę Weronikę. Z salonu prowadziły małe drzwiczki do sionki. Stąd wąskie schodki biegły na piętro, gdzie się ulokowałem w jedynej izbie z piecem. Domek Seweryna był stary i ciasny.

Joel umierał. Nie pozostawiało to, niestety, żadnej wątpliwości. Gdy opuścił więzienie, zastał partię w gruzach. Skazany więc był na łaskę ludzi, podobnie zresztą, jak większość więźniów. Pomiędzy sympatykami cyrkulowali co aktywniejsi, kwestując nieustannie na rzecz to zdrowych, których wyrok pozbawił pracy, to chorych, którzy byli jeszcze bardziej godni pożałowania. Zdrowi chodzili głodni, chorzy konali w opuszczeniu, — to był los! Joela zaprowadzono do Teresy, owej cioci od więźniów. Poznałem ją później, — była to osoba w średnim wieku, nosząca się czarno, otyła, suknie luźno spływały po jej znacznym ciele, w oczach miała wyraz skupionego wysiłku, który cechuje chorych sercowo albo ludzi w silnie podeszłym wieku. Nazywała się Radzichowska po mężu, ale mówiono o niej po prostu Teresa. Mówiono w najwyższych słowach.

W rezultacie tych odwiedzin Filut znalazł się przed obliczem lekarza nazwiskiem Kamper. Oględziny nie trwały długo. Kamper usunąwszy chorego z pokoju zwrócił się do Teresy:

— Będzie mu potrzebny leżak.

— Leżak?

— Tylko leżak. Już mu nic nie pomoże. Leżak trzeba mu kupić, niech ze słońca korzysta. To wszystko co można mu dać. Dziury w płucach jak grochy. Miesiąc życia. Dwa najwyżej...

Wrzesień miał się ku końcowi, gdy więzień po raz pierwszy i ostatni widział wtedy Warszawę. Przeżywał wzruszające chwile z najrozmaitszych powodów. Z powodu tłumów na Marszałkowskiej, z powodu aut i autobusów, cieszył go drapacz chmur na placu Napoleona, ale najsilniej wzruszył go — trudno uwierzyć — dym z kominów w dzielnicach robotniczych. Nie wiem, może kierowała nim ta sama ambicja, która każe głuchym zachwycać się dętą orkiestrą, choć nic nie słyszą? Sam pochodził z niedużego miasteczka podolskiego. Po dzień dzisiejszy żyje tam jeszcze ojciec jego — Żyd o uśmiechniętej, płochliwej twarzy z rzadką brodą, spędzający swoje dni przy maszynie do szycia. Prócz ojca i maszyny, w tej jednej izdebce mieszkało czworo rodzeństwa, wszystko młodsze od Joela. Dwa łóżka drewniane, stół do prasowania i jedzenia, kuchnia, naczynia kuchenne, ławka, stos materiału, wydzielającego zgniły zapach, oraz inne trudne do nazwania przedmioty stanowiły martwą zawartość tej klitki rodzinnej Filutów. Joel nie czuł się na siłach wracać do tego domu, ani w prawie pomnażać cierpień starego ojca o wieniec własnych. Udał się do Warszawy ze skierowaniem do siostry jednego ze współwięźniów. Przez nią trafił do Teresy.

Kupiono mu leżak i wysłano do Józefowa, — na śmierć, tak jak latem wysyłano na powietrze. I Filut umierał tak, jak umierają gruźlicy, stale podniecony, z gorączką, z krwotokami, z zastrzykami, do których wołano tutejszego lekarza, z okładami z lodu na piersiach, z potami, z nieodstępną flaszeczką, do której oddawał plwocinę, pełną niebezpiecznych zarazków, z całą bezsilnością konających. Od czasu do czasu przyjeżdżał któryś z towarzyszy, przyjeżdżał i wyjeżdżał. Na codzień pozostawała tylko stróżka Weronika, młoda kobieta, o kwadratowej atletycznej głowie, małych oczkach, długich i pełnych rękach — okaz zdrowia. W pokoju chorego zachowywała się jak mysz. Oddychać nie pozwalała sobie w czasie usług. Bała się zarazić. Joel umierał samotnie.

Wysiadywałem u niego całymi niemal dniami, pełniąc drobne usługi, które są igraszką dla zdrowego. Umierał z uśmiechem na twarzy. Po krwotokach, które wzmagały się z dnia na dzień potęgując moją rozpacz, Joel na wpół przytomny nie tracił przecież uśmiechu. Gasł z uśmiechem. Wykazywał cichą, dobrą radość zarówno rano, gdy gorączka była słabsza, jak i wieczorem, gdy płonął, zarówno po krwotokach jak i wówczas, gdy lepsza kondycja fizyczna pozwalała mu opuścić łóżko i krążyć po pokoju; krążył chudy i milczący z kocem narzuconym na plecy, wzorem żołnierzy w szpitalach, — duży, niezgrabny, z głową o szerokich uszach, wciśniętą w ramiona, z bezładnie sterczącymi włosami.

Było to możliwe tylko dlatego, że nie myślał o sobie. Ale ja nie mogłem nie myśleć o nim. Bywały chwile, kiedy widok tej więdnącej w oczach twarzy, jakby przytroczonej do poduszki, stawał się dla mnie nie do zniesienia. Cierpienia, bezlitosną ręką losu sprzęgnięte z tą egzystencją, wypędzały mnie z pokoju. Błąkałem się po pustkowiu józefowskim, uciekałem do Walerego Posrebrzanego, biegłem na stację po najzbędniejsze pisma, opętany nagłą manią kupowania. Ilekroć zamykałem za sobą drzwi na noc, miałem wrażenie, że zamykam grób.

IV

Pokochał mnie. Byłem ostatnim towarzyszem na jego krzyżowej drodze, a w nim tkwiło zbyt wiele miłości do ludzi. Naprzeciwko stróżka Weronika kłóciła się z mężem, lękała się chorego, wydawała się oschła i nieprzyjazna wobec życia. A przecież ile miłości wołało w jej niekończącym się monologu ze starym kanarkiem, który latał sobie z szafy na poręcz łóżka i z łóżka na szafę z powrotem. „A marchew Kubuś lubi? Oj, lubi, lubi Kubuś. Nie płosz mi się ptaszku biedny, nie dam ci nikomu krzywdy zrobić. A ciukru Kubuś lubi? Damy Kubusiowi ciukru. Oj iskasz mi się, ino iskasz ptaszku. Będzie śnieg“.

Miłość chorego zawdzięczałem w głównej mierze memu zawodowi. Lud kocha poetów, kocha piękno i prawdę. Tkwi w nim wiara, że z życia da się uczynić dzieło, tchnące harmonią. Mniema, iż ci, którym się to udało, którzy podjęli lot najwyższy — to poeci.

Sam fakt, że piszę, wystarczał mu. Wedle jego mniemania byłem tym, którego natura łaskawym zrządzeniem przeznaczyła do wypowiadania istot tego pokroju, co on. Wedle swego mniemania on sam był niemy i nagi jak dwudniowe źrebię, spoczywające ufnie pod czujnym brzuchem matki nocą w stajni. Ja miałem stać się językiem Joela.

Gdy wracał na teren wzajemnych obowiązków piszących i ludu, język jego, barwny i soczysty zazwyczaj, stawał się nieporadny i nieśmiały niby język kochającego, który wielomówny w samotności traci się pod okiem wybranej. Ciężka praca nie wpływa dodatnio na wielomówność. Masy, które — przed wojną — z biednych dzielnic przychodziły do śródmieścia, aby posłuchać umiłowanego poety, niewiele słów miały dla niego. Uśmiech w oku i mocny uścisk dłoni. Uśmiech, lub dwa słowa, miał tłum dla swego pisarza. Kto ich słuchał bez wzruszenia, tego serce wyschło. Joel był z tego tłumu.

A ja? Ja czułem się wobec tego życia, wobec tej śmierci i wobec tej wiary jak pies pokorny. I pełen winy. Zbyt wiele wiedziałem z tego, co wymykało się uwadze Joela lub co — rozmyślnie może? — pozostawiał niedomówione Że wielu w naszym pięknym zawodzie powołanych, a wybranych mało. Dla niego twórczość nie miała szczebli, ja znałem ich tysiąc, dziś tak samo trudnych, jak wczoraj. Czułem swą winę i słabość. Nie mówiłem za niemych. I nie miałem dziur jak grochy w płucach. Jakież musiałoby być moje wołanie, aby zrównoważyć te grochy w płucach! Gnębił mnie wstyd. Zasługa słała się pod nogi małość. Nie czułem się godzien.

— Wy musicie być w awangardzie, — wołał swym ochrypłym głosem. — W awangardzie!

Oczy gorzały mu w głębokich wyżłobieniach.

V

Był ogień, który swym płomieniem ogrzewał konającego. Łuna płonącej Hiszpanii przyciągała w sposób magnetyczny uwagę gruźlika, absorbowała jego umysł, który, mocą niezmiennego wyboru, złączył się z tą częścią dalekiego społeczeństwa, co pragnęła wolności. Generał Franco podchodził pod mury Madrytu.

Chłopak nie sam dokonał wyboru. Towarzysze, wraz z którymi walczył, w lot pojęli sytuację. Ci wszyscy, którzy wedle dosadnego a trafnego powiedzenia, nie chcieli siedzieć dłużej na nocniku, chłopcy przed maturą, studenci z sal wykładowych, robotnicy z fabryk, z dnia na dzień ginęli najbliższym z oczu. Opuszczali ojczyznę, by wywalczyć ją mniej ślepą i bardziej ludzką. Odejście ich nie rzucało się w oczy. Szczerby, poczynione przez nową fazę historii, były jeszcze drobne, nowe fazy zaczynają się zwykle od małych szczelin i biada tym, którzy ich nie umieją dostrzec. Towarzysze Filuta uciekali na Południe, a ich matki w głębokim, stroskanym milczeniu wypatrywały listów Dopiero w długi czas potem zaczęły napływać z — Francji, z Meksyku, z Argentyny. Przynosiły czasami wiadomości o bohaterstwie dobrych znajomych, o bohaterstwie, które mogło się wydać niepotrzebne, a zmiana ojczyzny — szaleństwem. Był rok 1936.

Opuszczający kraj wchodzili — tam na Południu — w szeregi legionu, który nosił nazwisko Jarosława Dąbrowskiego. Uczestniczyli w nim również polscy górnicy z Francji, z Westfalii, inteligencja, żyjąca na emigranckim chlebie w Pradze, cała ta Polska, rozsiana po świecie, dla której nie było miejsca w ojczyźnie. Zdawało się, że bodaj do drobnej wspólności powinna była poczuwać się prasa w kraju Przeciwnie, od pierwszej chwili jej większa część zaczęła wynosić pod niebo tych, którzy gnali Marokańczyków pod mury Madrytu, a opluwać jego obrońców. Było coś bolesnego i zawstydzającego w tej pogardzie dla najlepszych, w tym psychicznym truciu pozostałych rodzin. Polacy walczący pod Teruel, Oviedo, San Sebastiano — jeśli dochodziła ich ta prasa — mogli mniemać, że krew ich spływa wśród przekleństw i drwin, że innego głosu kraj dla nich nie ma.

Ale ci, którzy poszli walczyć, znali tę nienawiść. Nie od dziś odbierała im wszelkie prawa ludzkie, w których obronie raz jeszcze wystąpili. W przeciwieństwie bowiem do innych, tkwili w stałej gotowości płacenia pełną stawką za dekalog praw, za który, gdy się płacić nie chce, nie jest się godnym miana człowieka. Trwogę i lęk wytracili dawno w wewnętrznych swych szamotaniach. Dlatego ci ludzie, z których żadna uciskająca władza nie wykrzesałaby nic dla siebie, na frontach hiszpańskich zachowywali się jak bohaterowie.

Rzecz wiadoma: pewne organy na skutek ćwiczeń rozwijają się, inne z ich braku zamierają. Joel należał do gatunku, w którym zmysł polityczny działał trafnie. Sześciu posłów z Izby Gmin pojechało do Hiszpanii. Jeden z nich imieniem Jammes, powróciwszy do Londynu, określił tę wojnę domową, jako wojnę domową w skali międzynarodowej. Joel dawno doszedł do tego wniosku.

W łóżku, gdy go trawiła gorączka, czy — gdy czuł się nieco lepiej, — chodząc po pokoju z rękoma w rękawach płaszcza wśród nieustannego pokasływania swoim ochrypłym ledwo dosłyszalnym głosem, faszerował mnie nazwami miejscowości, brzmiącymi dumnie i dźwięcznie, wiadomościami z przebiegu walk.

Pisma donosiły butnie: generał Franco gotuje się, by zadać decydujący cios Madrytowi. Nazajutrz: przedmieście Boadilla de Monte padło po zaciętej walce. W samym Madrycie daje się we znaki brak żywności. Następnego dnia: władzę nakazały ewakuować ludność cywilną, niestosujących się do rozporządzenia uznać za wrogów narodu. Następnego dnia:

huraganowy ogień artylerii czyni spustoszenia w mieście. O godz. 11 m. 15 nad Madrytem ukazało się 9 samolotów bombardujących i 15 myśliwskich. Naliczono około 40 wybuchów. Następnego dnia: wojska narodowe zaczynają oskrzydlać Madryt. Ale Joel nie tracił nadziei.

Leżał z oczami na wpół przymkniętymi, przykuty wewnętrznym widzeniem do terenu wojny. Kołysał go rytm melodyj śpiewanych przez żołnierzy, grzał się razem z nimi przy trzaskających ogniskach, razem z nimi marzł w śnieżnych okopach, brodził po pas w śniegu wraz z patrolami, w na pół rozwalonych, dymiących winiarniach uśmiechał się do żołnierzy i chwytając ich za guziki od krótkich kożuszków, mówił długo i gorąco.

Łuna wojny wolnościowej mocno i łaskawie ogrzewała konającego, gdy naokoło palpitował inny dramat. Dramat królewskiego serca. Czy mrs. Simpson zostanie żoną króla Anglii? Czy miłość okaże się silniejsza niż tron?

VI

Jak umarł?

Pożegnałem go około godziny siódmej wieczorem. Przed udaniem się na spoczynek, chciałem rzucić okiem na noc i zeszedłem do ogrodu. Zbierało się na mróz. Pełny księżyc stał na czystym niebie, mroźna cisza dzwoniła w uszach, ziemia pod nogami dźwięczała głucho. Poczułem dreszcze. „Rozkopać kamienistą ziemię i pochować człowieka w taki ziąb" — pomyślałem gorzko, tak jak gdyby skon w znieruchomiałe od skwaru lipcowe południe przychodził łatwo. Mroźne, czyste noce grudniowe przynoszą często słoneczne dni. Ale nawet słońce nie było już potrzebne choremu. Krwotoki powtarzały się po kilka razy na dzień.

Sen, choćby najkrótszy, mąci poczucie czasu. Nie mogłem się zorientować, która mogła być godzina, gdy zbudził mię łoskot. Wkrótce stał się zrozumiały, — zrozumiały i przerażający. Ze stopnia na stopień windował się ciężar znaczny i niezgrabny. Wyczuwało się wahanie przed każdym stąpnięciem. Nic innego — to konający szedł do mnie.

W otwartych drzwiach, zalanych blaskiem księżyca, ze skurczem serca ujrzałem znajomą sylwetkę w płaszczu, narzuconym pośpiesznie na bieliznę, w człapiących, niezasznurowanych butach na bosej nodze. Drżał z zimna i szczękał zębami. Przez chwilę ten szczęk zębów o zęby był jedynym żywym odgłosem w nocnym pokoju, zalanym światłem jakby z zaświatów.

Gdy znalazłem się przy nim, chwycił mnie kurczowo za przegub ręki. Z oczami wyłażącymi niemal z orbit, głosem chrypliwym, łamiącym się, wyrzęził:

— Ja, słuchaj... już koniec... Ja pozdrowienia... pozdrowienia ślę dla walczącego proletariatu w Hiszpanii... Ostatnie pozdrowienia od Joela Filuta, towarzysza z Polski.

Patrzyłem na tę obcą w świetle nocy twarz. Rażona księżycem nic nie zachowała z cech, które znałem. Była już maską.

Zwolnił uścisk Chwilę staliśmy jeszcze jak sparaliżowani. Potem rękę, w której miał chustkę, podniósł do zaciśniętych warg. Wtedy zobaczyłem cienką strużkę krwi. Ale jeszcze wtedy miał płomień w oczach, ostatni płomień konającego, przeznaczony na wspólny stos.

Tej nocy żaden żołnierz w Madrycie nie umierał piękniej.

VII

Wraz z powyższym zleceniem zakończył swój żywot świadomy i zdolny do porozumienia duch Joela Filuta. Natomiast ciało jego dogorywało przez kilkanaście godzin następnych. W ciągu tego czasu niespodzianie przyjechał lekarz z małą, ptasią głową, patrzący spoza szkieł, Kamper i mój Seweryn. Był to dzień wigilii Bożego Narodzenia i warszawianie postanowili hucznie spędzić święta w tutejszym pensjonacie, specjalnie uruchomionym. Prócz nich zjechało jeszcze sporo gości, wszyscy żywotni, radośni, tonący po uszy w przyjemnościach życia. Perspektywa kilku świetnych dni wprawiała ich w przyjemne podniecenie. Ożył Józefów, zapachniał latem, mówię to oczywiście w przenośni. Tym okrutniej odcinał się los Joela. Moi goście trafili już na ostatnią godzinę.

W świąteczny, mroźny, słoneczny dzień wypadło nam rozkopać skamieniałą ziemię, aby jej — na zawsze — oddać wyschnięte, żółte, udręczone ciało.

Wiem, że w dzisiejszym Lwowie r. 1940, z dala od ojczyzny, mamy pośród nas wielu takich, co płaczą na sam dźwięk wyrazu „Józefów". Zjada ich tęsknota, mają powody. Ja nie płaczę wraz z nimi. Ale jakże mi się nie wzruszać nad tą jak stół płaską, jak ulica Przeskok brzydką miejscowością podwarszawską, skoro jej pejzaż sprzągł się we wspomnieniach z człowiekiem, który w oczach moich stąpał po Ziemi Obiecanej?

Lwów, 1940.

**Adolf Rudnicki**

EUGENIA KOCWA

# Jedziemy na Dolny Śląsk

PIERWSZY ETAP

Z krakowskiego pociągu wysiadamy o wpół do drugiej w nocy. Pociąg przyszedł z czterogodzinnym opóźnieniem. Jest to zresztą wypadek zupełnie wyjątkowy, jak zapewnia ktoś, co jeździ na tej linii już od dłuższego czasu. Zwykle pociąg spóźnia się o dwie godziny, czasem przychodzi nawet punktualnie.

Katowicki peron przedstawia osobliwy widok. Coś niby żołnierski biwak lub cygański obóz. Wszystkie przejścia, wszystkie tunele zatłoczone są ludźmi, leżącymi ciasno obok siebie. Tylko w środku, między dwoma szeregami leżących, zostało nieco wolnego miejsca do przejścia. Nawet na schodach, prowadzących do tunelu, śpią mężczyźni w malowniczych pozach włoskich lazzarone, drzemiących na stopniach rzymskich świątyń. Niektórzy poukładali się wprost na kamiennej posadzce, podłożywszy pod głowę kuferek albo własny kułak, inni urządzili się niemal że po domowemu, robiąc sobie legowisko z koców. Widziałam małe dziewczynki, rozebrane do koszuli, pozawijane w koce, spod których sterczały tylko bose zabrudzone nóżki.

Gdy zaczęło szarzeć, wyszłam. W brudnoszarym świetle przedświtu słabo rysują się kontury domów. Cisza. Pustka. Skręcam w jakąś ulicę, która — o ile mnie pamięć nie zawodzi — powinna mnie doprowadzić do Alei Trzeciego Maja. Ta ulica nie jest pusta. Wypełnia ją wielki tłum osób obojga płci, głównie jednak kobiet. Niosą tłumoki i walizki, kobiety pchają przed sobą wózki. Znany, nazbyt dobrze znany widok. Z Poznańskiego, ze Śląska, z Łodzi ciągnęły takie karawany do Krakowa, Warszawy, Lublina. Wyganiano ich w styczniu, w trzaskający mróz, często nie pozwalając nawet zabrać cieplejszego okrycia, z wagonów wynoszono trupki zamarzłych dzieci.

Teraz kierunek jest inny: nie na wschód, lecz na zachód. Jest lipiec, okres żniwny — zamarznięcie nie grozi nikomu. Transport konwojuje nieduża grupa żołnierzy. Co pewien czas rozlegają się ich głosy: „Proszę przyłączyć!" To wezwanie do tych, którzy się ociągają i zostają w tyle lub też rozchodzą się na boki. Jeden z nich zwraca się z takim wezwaniem do mnie. Śmieję się. „Tym razem to ja już nie." „Jak to, dlaczego pani nie?" — dziwi się żołnierz. Widząc mnie na ulicy, o świcie, w dodatku z walizką, kręcącą się obok transportu „dwójkarzy", wziął mnie za jedną z nich. Delegacja służbowa rozstrzyga wszystkie wątpliwości. Żołnierz salutuje, pozwala mi odejść.

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. Na tle błękitniejącego nieba występują wyraźnie sylwetki doskonale zachowanych domów. Idę szeroką ulicą Warszawską (dawniejsza Krakowska), skręcam w boczne ulice, oglądam kościół Mariacki i dawny kościół protestancki, zamieniony obecnie na kościół katolicki pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli, odszukuję teatr. Wszystko stoi jak stało. Tylko tu i ówdzie nieznaczne uszkodzenia. Ruin nie ma. Te słynne „gruzy", o których tyle mówiło się kiedyś w Krakowie, reprezentuje kilkanaście zburzonych gmachów w okolicy głównego dworca. Widać niedoszli pionierzy, którzy wybrawszy się „na zachód" (tzn. do Katowic), wracali stamtąd, mówiąc, że nie myślą mieszkać wśród gruzów, nie dotarli poza najbliższe okolice dworca. Obecnie te ruiny, uprzątnięte i częściowo ogrodzone, wyglądają jak malowniczy rezerwat na tle kipiącego życiem miasta. Szerokimi arteriami komunikacyjnymi mkną sznury wszelkiego rodzaju samochodów, dzwonią dalekobieżne tramwaje, ulicami przewalają się tłumy ludzi.

Jest tu dużo ludności napływowej z całej Polski. Część tych ludzi powinna z tego przedsionka zachodu, jakim są Katowice, odpłynąć dalej, jeśli już nie na Śląsk Opolski czy Dolny, to choćby do odległych stąd o 30 km Gliwic, gdzie stosunki narodowościowe pozostawiają wiele do życzenia.

To miasto, niegdyś przygraniczne, obecnie jedno z miast centralnych Polski, zrzuciło z siebie nalot niemczyzny tak, jakby go tu nigdy nie było. O ile już w niedalekim Zabrzu słyszy się na ulicach stosunkowo często niemiecką mowę, o tyle w Katowicach nawet ślad niemczyzny nie został. Katowice — przynajmniej zewnętrznie — są miastem czysto polskim. Tylko język Polski centralnej lub śląska gwara rozlega się na ulicach i w lokalach miasta. „Dwójkarzy", którzy mimo wielokrotnych wezwań nie chcieli usunąć się stąd dobrowolnie, wysiedlono w nocy z 23-go na 24 lipca. Czy wśród „trójkarzy" i „czwórkarzy", którym udzielono tymczasowego obywatelstwa, nie pokutują jeszcze skryte niemieckie sympatie, tego nie da się obecnie ustalić. To zresztą nie jest istotne. Tylko bowiem od naszej rozumnej lub lekkomyślnej polityki będzie zależało, czy te sympatie zmaleją a wreszcie całkowicie znikną, czy też wzrosną. Drogą właściwą w żadnym razie nie jest szerzenie separatyzmów dzielnicowych, jakie niestety dość często się jeszcze spotyka. Trudno nie przyznać racji tej Ślązaczce, która mówiła do mnie z goryczą: „My Ślązacy to jesteśmy biedni: Niemcy mówili na nas „Poloki", a Polacy nazywają nas Niemcami."

Im prędzej zrozumiemy, że twarda gwara śląska jest raczej wyróżnieniem — jako świadectwo wielkiej odporności tamtejszego ludu, najdłużej narażonego na germanizacyjne wpływy — niż czymś zasługującym na lekceważenie, tym bardziej wzrosną nasze szanse repolonizacji ziem odzyskanych.

Z OKNA WAGONU

Z Katowic wyjeżdżamy przed piątą rano. W Kluczborku trzeba będzie się przesiąść, a stamtąd już wprost do Wrocławia. Wagony przyzwoite, przepełnienia nie ma. Zaledwie kilkanaście osób, dla których zbrakło już miejsc siedzących, stoi w korytarzach. Odjeżdżamy co do minuty punktualnie, pociąg jedzie w tempie, które po jeździe „stępa" na linii Kraków—Katowice wydaje się wręcz zawrotne. Jeśli tak dalej pójdzie, jest nadzieja, że do Wrocławia przyjedziemy zgodnie z rozkładem, tzn. około wpół do drugiej.

W Kluczborku pociąg, którym mamy jechać dalej, stoi już na stacji. Przy wsiadaniu dochodzi do mniej lub więcej gwałtownej wymiany zdań. Pociąg jest już pełny, a musi przyjąć jeszcze prawie cały ładunek katowicki. Ale człowieka, który choćby raz jechał na linii Kraków—Warszawa lub odwrotnie, nic nie jest w stanie zadziwić. W rezultacie upychamy się nienajgorzej. Po kilku stacjach, gdy wysiedli żołnierze, zajmujący parę wagonów, jedzie się nawet zupełnie wygodnie. Można usiąść przy oknie, można obserwować.

Kraj pięknie zagospodarowany, słabo zaludniony, prawie zupełnie nietknięty działaniami wojennymi. Wszystkie budynki — zarówno mieszkalne jak i gospodarcze — murowane, obszerne, ładnie rozplanowane. Z rzadka tylko widzi się wypalone ruiny domów, ziejące martwymi jamami okien.

Coś innego wskazuje bodajże dobitniej na to, że i tędy przeszła stopa wojny. Po obu stronach toru widać pola nieobsiane, zarosłe jakąś wysoką suchą trawą, z daleka łudząco przypominającą owies. Miejscami osty puściły się tak gęsto, że nawet trawę przygłuszyły. Żyto, przypuszczalnie ozime, stoi w kopach, częściowo nawet już zwiezione z pola. Nierzadko jednak widzi się wielkie łany, przypuszczalnie należące do dworskich majątków, nietknięte jeszcze kosą. Żyto da się jeszcze uratować. Z rzepaku nie będziemy już mieli pociechy — wysypał się w polach.

Na wszystkich stacjach witają nas piękne polskie nazwy. Nie musieliśmy się wysilać, jak to robili u nas niemieccy okupanci, przekręcając polskie nazwy lub wymyślając nowe. One czekały tu na nas od stuleci, aż z pyłu zapomnienia wydobędziemy je znów na światło dzienne lub usuniemy okaleczenia, które zrobiły z nich potworki w rodzaju: Radzionkau lub Namslau. Teraz znów jest odwiecznie polski Radzionków i Namysłów, a Oleśnica patrzy na nas z kolejowego szyldu dumnie, jak nowointronizowana królowa, której nareszcie przywrócono należne jej prawa.

Niby straszący upiór niedawnej przeszłości wyłania się przed nami gotycki napis na budynku stacyjnym: „Breslau-Hundsfeld". To słynne Psie Pole, obecnie przedmieście Wrocławia, które nie wiadomo dlaczego nie doczekało się dotąd polskiego napisu.

Po obu stronach toru walają się trupy pogruchotanych wozów kolejowych i samochodów ciężarowych, gdzieniegdzie widać nawet szczątki samolotów. Kupy żelastwa, fantastycznie poskręcanego wskutek gwałtownych uderzeń, przeżartego rdzą, szeroko zaścielają pola. Tak jak niegdyś, przed wiekami, zaścielały je trupy wojowników, wydane psom na żer, gdyż zbrakło rąk, aby je pogrzebać. Wszystko wskazuje na to, że wkroczyliśmy na teren jednej z najzaciętszych w dziejach bitew. Pociąg zwalnia biegu. Wjeżdżamy do Wrocławia.

PRZYWITANIE Z WROCŁAWIEM

We Wrocławiu jestem po raz trzeci. Pierwszy raz byłam tu, gdy mnie wieziono do obozu koncentracyjnego, drugi raz gdy z obozu uciekłam, narażona każdej chwili na ponowne aresztowanie, w razie gdyby przyszło do kontroli dokumentów. Teraz przyjechałam tu jako korespondentka, zaopatrzona w delegację służbową, w której wszystkie władze cywilne i wojskowe proszone są o udzielenie mi wszelkiej możliwej pomocy. Tak to fortuna kołem się toczy.

O tej zmienności fortuny myślą zapewne Niemcy, zatrudnieni przy usuwaniu gruzów kościoła Zbawiciela, znajdującego się niedaleko dworca. Zatrudnieni raczej nominalnie, bo faktycznie siedzą nad kupą cegieł, wygrzewając się w słońcu i tylko niekiedy ktoś stuknie młotkiem lub skrobnie trzymaną w ręku cegłę, którą przypuszczalnie ma oczyścić z cementowej zaprawy. Jest ich kilkadziesiąt osób, głównie kobiet i młodzieży.

Gdy przechodzę obok nich, od grupy odłącza się jakiś mężczyzna i zapytuje, czy mam słoninę. Nie, nie mam. No więc może masło, albo tytoń? Dałby za to koszule. Nie, masła także nie mam i w ogóle nic nie sprzedaję ani nie kupuję. Wówczas zaczyna się uskarżać, że za swoją pracę dostają po ćwierć kilo chleba na tydzień. (Jest to zresztą nieprawda, jak stwierdziłam później; poza tym praca — o ile to w ogóle można nazwać pracą — nie jest przymusowa. Zgłaszają się do niej dobrowolnie, dla drobnych przydziałów żywnościowych, które przysługują pracującym). Mówię mu, że w obozie koncentracyjnym też się pracowało o głodzie, z tą jednak różnicą, że tam praca wyglądała zupełnie inaczej. „W niemieckim obozie koncentracyjnym?" — pyta skonsternowany i zaraz dodaje, by ratować sytuację: „Nie wszyscy Niemcy są źli." Nie mam zamiaru zaprzeczać prawdzie tak oczywistej, więc mówię mu tylko, że naród stanowi całość, jeśli więc naród jako całość zawinił, musi też jako całość ponieść konsekwencje. Musi płacić za to, że korzystał przez długie lata z pracy podbitych narodów, upajając się smakiem tryumfu i mianem „Herrenvolku."

Idę dalej. Gruzy, gruzy, gruzy. Całe ulice, całe dzielnice wypalone, cały stary Wrocław przestał istnieć. Rozmiar zniszczenia można przyrównać tylko do rozmiaru zniszczenia Warszawy. Poprzez te ruiny prowadzi troskliwa ręka tych, co tu pierwsi przyszli. Białe wskaźniki z czerwonymi napisami wskazują drogę do zarządu miejskiego. Im bliżej placu Wolności, przy którym zarząd miejski się mieści, tym częściej pośród niemieckich przechodniów pojawiają się Polacy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, lub biało-czerwonymi kokardkami w klapach marynarek.

Oprócz rozporządzeń władz, drukowanych po polsku i po niemiecku, język polski na murach Wrocławia reprezentują propagandowe afisze. Jeden z nich perswaduje: „Wszystko z pola zebrać trzeba — każdy kłos to bochen chleba." To brzmi nawet dość ładnie, lecz mój zmysł rzeczywistości buntuje się przeciwko temu, że z kłosa ma być aż bochen chleba. Ano trudno, licentia poetica. Drugi afisz, utrzymany w bardziej energicznym tonie, budzi jeszcze poważniejsze zastrzeżenia. Do kogo ma przemówić takie wezwanie, rozlepione na murach spalonego miasta: „Śląsk czeka na chleb — wszyscy do żniw": czy do polskich urzędników, czy też do licznie pozostałych w mieście Niemców?

Wśród tych refleksji dochodzę wreszcie do placu Wolności. Nad bramą dawnego gmachu sądu, ciężkiego budynku z czerwonej cegły, z basztami w narożnikach, piękny biały orzeł rozpościera opiekuńcze skrzydła, nad budynkiem powiewa widoczna z daleka biało-czerwona flaga.

Do zarządu miejskiego przychodzę za 15 trzecia. Zanim się jednak dowiem, gdzie mieści się referat kwaterunkowy i zanim go odnajdę, jest już trzecia za dziesięć. Woźny powiada mi, że już jest „fajerant", że referent już wyszedł. „Ale ja przyjechałam dopiero z Warszawy i muszę gdzieś spać." No więc godzi się wpuścić mnie do pokoju, dostaję skierowanie do hotelu. Chodzi jeszcze o przydział aprowizacyjny. Urzędniczka o piętro niżej przyjmuje mnie zdecydowanie niełaskawie. W trakcie wypisywania kartki cały czas monologuje. „To trzeba mieć pecha. Że też zawsze musi komuś tych kilka minut zabraknąć." Mówię jej, że to nie moja wina, że pociąg przychodzi o tak niewygodnej dla niej porze. I równocześnie myślę, co zrobiłabym, gdyby pociąg się spóźnił o te zbawcze 10 minut.

ŻYCIE WŚRÓD RUIN

Najbardziej ożywiony punkt Wrocławia to Mathiasstrasse. Tu ogniskuje się to, co decyduje o życiu miasta, co przyśpiesza jego tętno i wyznacza możliwości jego rozwoju. Tu, w najbliższym sąsiedztwie miejskiego urzędu informacji i propagandy, powstało handlowe centrum. Na razie jest to handel uliczny, handel nielegalny. Podobno od czasu do czasu milicja rozpędza handlujących. Jeśli istotnie tak czyni, czyni bardzo nieroztropnie. To, co w Warszawie czy Katowicach nie ma racji bytu wobec dostatecznie rozgałęzionej sieci sklepów i jest pozostałością anormalnych warunków wojennych, to we Wrocławiu jest w tej chwili życiową koniecznością, gdyż sklepów na razie jeszcze tu nie ma.

Gdy w stołówce „Polonii" do zupy nie podano mi łyżki, zapytałam uprzejmego sąsiada, który mi pożyczył własnej, gdzieby tu można nabyć ten niezbędny przedmiot. Powiedział mi: „Niech pani idzie na Mathiasstrasse — tam pani na pewno dostanie." Łyżki wprawdzie nie dostałam, ale za to stwierdziłam, że słonina, która podobno dwa tygodnie temu była we Wrocławiu niedoścignionym marzeniem, obecnie jest do nabycia po cenie 300 złotych za kilo, a więc niewiele wyższej niż w Krakowie. Chleb stosunkowo drogi — 50 złotych za kilo, grunt jednak, że można go dostać i że

tym, którzy do wydziału aprowizacyjnego nie zdążą przed trzecią, śmierć głodowa nie grozi. Gdy będzie go więcej, na pewno potanieje.

Niedługo zresztą powstaną tu sklepy. Komisja wydziału handlowego w ciągu ostatnich dwóch tygodni przyznała 81 sklepów, głównie spożywczych. Na pytanie, co komisja robiła przedtem, odpowiedziano mi, że ukonstytuowała się dopiero niedawno, gdyż poprzedni burmistrz gospodarki prywatnej nie uznawał. Ogółem podań wpłynęło 1300, częściowo jednak są to podania niemieckie, których oczywiście nie bierze się pod uwagę, częściowo podania na ten sam lokal, w każdym razie ta wysoka liczba świadczy, że zainteresowanie handlem jest duże. Jest to objaw tym bardziej pocieszający, że sklepy, które się jeszcze uchowały, są kompletnie ogołocone z towarów. A więc nie nadzieja przyjścia do gotowego przyciąga ludzi. Po prostu stawiają na przyszłość Wrocławia.

Zanosi się więc na to, że handel we Wrocławiu nareszcie ruszy z martwego punktu i nie ograniczy się tylko do Mathiasstrassę. Wielkie pole do popisu ma tutaj rzemiosło. Szewcy, krawcy, cieśle i murarze byliby tu ludźmi nadzwyczaj pożądanymi. A już najbardziej ze wszystkich upragnieni są dekarze, chodzi bowiem o jak najszybsze zabezpieczenie pozostałych i jeszcze zdatnych do użytku gmachów.

Od września powstaną tu szkoły powszechne i zawodowe. Obecnie przeprowadza się wpisy dzieci. Projektuje się nawet otwarcie uniwersytetu. Proboszcz pierwszej polskiej parafii przy kościele św. Bonifacego prowadzi już lekcje religii dla dzieci.

Jak się później przekonałam, nie cały Wrocław przedstawia obraz tak ponurego zniszczenia, jak to, które się ogląda idąc od dworca Wrocław—Odra do placu Wolności. Niektóre dzielnice są dość dobrze zachowane. Ocalała wspaniała hala koncertowa, obliczona na 8 tysięcy osób. Prawie nie widać zniszczeń wojennych w dzielnicy willowej Karłowicze, zamieszkałej głównie przez urzędników.

Było już pod wieczór, gdy, wracając z Karłowicz, znalazłam się na Mathiasstrasse. Już z daleka dobiegają odgłosy jazzowej muzyki. Przez otwarte drzwi widać złożoną z kilku osób orkiestrę, na środku sali tańczące pary. Gdy weszłam, pomocnik restauratora, siedzący za bufetem, zajęty był wyciąganiem muchy z sosu. To go tak absorbowało, że z roztargnieniem odpowiadał na moje pytania. Tyle się wszakże od niego dowiedziałam, że to pierwsza restauracja we Wrocławiu (jedna z dwu istniejących) i że otwarto ją parę tygodni temu. Towarzystwo prawdziwie wielkomiejskie, to znaczy możliwie najbardziej mieszane. Niedaleko bufetu kilku Polaków spożywa kolację, tuż obok dwaj młodzi ludzie o interesującym południowym typie, z czerwonymi opaskami na rękawach, z napisem F. P. S., co oznacza: francuska partia socjalistyczna. Podobno przysłani do Wrocławia przez konsulat francuski w Warszawie. Przy stolikach bliżej orkiestry jakieś Niemki o mocno podejrzanym wyglądzie zerkają w stronę sowieckich żołnierzy lub sztyletują spojrzeniami bardziej szczęśliwe rywalki, które znalazły już umundurowanych partnerów i kręcą się z nimi w tańcu. Miejsca wolnego już by nie znalazł, kelner nie może nadążyć z roznoszeniem piwa. Przedsiębiorczy restaurator na kryzys na pewno nie narzeka.

Plagą Wrocławia są muchy. Wiąże się to ściśle z nieuprzątniętymi gruzami. W Karłowiczach już tego nie ma, ale centrum Wrocławia — to ich Eldorado. Wystarczy usiąść na chwilę w hotelowym hallu, by zostać obsiędzionym przez muchy niby na zapadłej wiosce.

Inna plaga — znacznie poważniejsza — to szabrownictwo i łapownictwo. Eleganckie panie w towarzystwie szykownych panów nie wahają się krążyć wśród zwalonych will w poszukiwaniu łupu. A wszystko to przyjeżdża z poleceniami, z delegacjami służbowymi, często urzędowymi autami. To oni powodują ścisk w hotelach, to oni utrudniają jakie takie znormalizowanie wrocławskiego życia. Gorzej jeszcze, że nie tylko przyjezdni, ale i urzędnicy, często na wysokich stanowiskach, uprawiają różne, dość mętne, interesy. Są urzędnicy, którzy pracują naprawdę z wielkim poświęceniem, nie wahając się imać nawet pracy fizycznej, jeśli w danej chwili konieczność tego wymaga, lecz ich praca tak długo nie będzie mogła dać rezultatów, jak długo obok nich będą inni, dla których jedynym celem wyjazdu na zachód jest szybkie wzbogacenie się — wszystko jedno, jakimi drogami.

To też jest powodem, że jak na wielki sztab urzędników dotychczasowe rezultaty pracy są dość nikłe. Wprawdzie teren jest trudny i nie wszystko jest zależne od dobrej czy złej woli urzędników, takich jednak wypadków jak częściowy powrót złożonej z kilkuset osób grupy kosiarzy z kieleckiego, ponieważ nie miał się kto nimi zająć, być nie powinno. Również w przykry sposób uderza, gdy na zapytanie, gdzie mieści się urząd informacji i propagandy, otrzymuje się odpowiedź, że na Mathiasstrasse, inspektorat szkolny na Vorbergstrasse itd. Plac Wolności (dawny Schlossplatz) jest bodajże jedynym, który doczekał się polskiej nazwy.

Jeśli chodzi o stosunek Niemców wrocławskich do Polaków, to spotkałam się z dwiema opiniami, krańcowo od siebie różnymi. Według jednych są oni w najwyższym stopniu agresywni, nie wahają się nawet odgrażać Polakom, zuchwale manifestują swe stanowisko. Inni natomiast twierdzą, że są tak potulni, że można z nimi zrobić wszystko, co się chce. Prawda, jak zwykle, leży w pośrodku. Niewątpliwie zdarzają się wypadki agresywnych wystąpień, zwłaszcza pośród młodszych, tych którzy przeszli przez hitlerowską szkołę. Na ogół jednak ludzie, którzy przetrzymali całe oblężenie, są wymęczeni i apatyczni.

Tak czy inaczej, taki stan jak obecnie, na dłuższą metę jest niemożliwy do utrzymania. Polaków jest w tej chwili we Wrocławiu około 20 tysięcy, wliczając w to miejscowych, powracających z Niemiec i przybyłych z głębi Polski, Niemców jest około 250 tysięcy. Wrocław nie jest jeszcze miastem polskim. Polskie są urzędy, lecz przytłaczająca większość ludności — to ludność niemiecka. Problem ten domaga się szybkiego rozwiązania. Argument, który często słyszałam we Wrocławiu, że Niemcy potrzebni są jeszcze jako fachowcy, nie wytrzymuje krytyki. Zapotrzebowanie na fachowców nie może przekraczać w najlepszym wypadku kilku tysięcy. Ci mogliby na razie pozostać, dopóki nie zastąpi się ich fachowcami Polakami. Reszta musi zostać wysiedlona, ale nie w sposób tak bezplanowy i chaotyczny, jak to się stało w kilku innych miejscowościach. Wysiedlanie powinno się odbywać stopniowo i według pewnego z góry ułożonego planu. A im wcześniej do tego się przystąpi, tym lepiej, gdyż dalsze pozostawanie tej masy ludności niemieckiej na terenie Wrocławia może doprowadzić do niepotrzebnych komplikacji.

**Eugenia Kocwa**

STANISŁAW ROSPOND

# Na straży imiennictwa geograficznego

Słownictwo geograficzne jest nierozerwalną częścią mowy ojczystej. Na straży języka stojąc, jego czystości, poprawności, piękności, musimy też stać konsekwentnie na straży czystości i polskości naszego imiennictwa geograficznego. Dlaczego właśnie dziś piszemy o tym? Czy to ważne w chwili odbudowy i przebudowy naszego życia państwowego i kulturalnego? W chwili naszego „ciągu" na zachód? W chwili gdy znikają z tablic orientacyjnych, map, skorowidzów miejscowości: **Breslau, Hindenburg, Leobschütz** i inne **-hofy, -burgi, -dorfy, -waldy**, a na ich miejscu prostują się polskie litery: **Wrocław, Zabrze, Głubczyce** itp.!

Sądzę, że tak! Zarosły puszczą niemieckości przez wiekowy teutoński „Drang nach Osten" grunt nadodrzański, zachodnio- czy wschodnio-pomorski musimy przeorać, aby przywrócić mu polską, rodzimą szatę. Rozumna, przez fachowców przeprowadzona repolonizacja nomenklatury geograficznej tych okolic jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Nie jest bowiem rzeczą obojętną, czy w naszym „Słowniku geograficznym", czy na naszych mapach, skorowidzach, drogowskazach panoszyć się będą rzeczywiste germanizmy w rodzaju: Arnsdorf, Bischofstal, ewentualnie ukryte germanizmy w rodzaju: **Nisa** zamiast **Nysa, Olawa** zamiast **Oława**, czy też rodzime, polskie, poprawne nazwy. Dobrze zatem, że prof. W. Taszycki zabrał głos w tej sprawie na łamach „Dziennika Polskiego", poprawiając **Nisę** na **Nysę, Kładzko** na **Kłodzko, Cielęcin** na **Sulęcin.** Tenże sam „Dziennik Polski" starał się zaktualizować to zagadnienie w artykule E. Osmańczyka: „Nazwiska ludzi i nazwy ziem" (nr 7 z 5 kwietnia br.). Ale to nic wszystko. To zaledwie kropla w morzu w porównaniu do ogromu pracy, jaka nas czeka: **ustalenie urzędowej nomenklatury geograficznej dla terenów nowoodzyskanych.**

Po tamtej wojnie, dzięki akcji czynników urzędowych (Wojskowy Instytut Geograficzny, Główny Urząd Statystyczny, Komisja przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych do opracowania wniosków w sprawie ustalenia urzędowej nomenklatury miejscowości w Polsce) polskie imiennictwo geograficzne doczekało się z grubsza zasadniczego ustalenia. Rozpoczęto też wydawnictwo „Słownik geograficzny Państwa Polskiego i ziem historycznie z Polską związanych" jako rezultat uchwały powziętej na „Pierwszym Ogólnopolskim Kongresie Krajoznawczym" (Poznań, 1929). Powołano do życia obszerną radę redakcyjną „Słownika geograficznego", złożoną z przedstawicieli szeregu instytucyj naukowych zarówno ogólnych (np. PAU, towarzystw naukowych), jak i specjalnych. Na czele komitetu redakcyjnego stanął wybitny geograf prof. **E. Romer,** a jako członkowie między innymi: prof. **F. Bujak** (historyk), prof. **K. Nitsch** (językoznawca), prof. **W. Semkowicz** (historyk), prof. **St. Pawłowski** (geograf), prof. **J. Smoleński** (geograf) i inni. Naczelnym redaktorem „Słownika" obrano prof. **St. Arnolda.** Autor tego artykułu objaśniał z punktu widzenia językowego nazwy miejscowe. To na szeroką skalę zakrojone wydawnictwo nie miało być drugim wydaniem 15-tomowego „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego" F. Sulimierskiego i B. Chlebowskiego, lecz zupełnie nowym opracowaniem o układzie regionalnym. W pierwszym tomie zaczęto omawiać Pomorze Polskie, Zachodnie i Prusy Wschodnie. Niestety ukazało się zaledwie kilkanaście zeszytów tego tomu.

A dzisiaj czeka nas o wiele trudniejsze zadanie i donioślejsze wobec oparcia naszych granic o Odrę i Nysę, wobec nieustalenia zgermanizowanej nomenklatury geograficznej tych nowoodzyskanych ziem. Niejeden starosta chciałby usunąć nazwy niemieckie, ale nie wie — jak? Do kogo się udać o poradę? Redakcje „Głosu Nadodrzańskiego" czy „Gazety Dolno-Śląskiej" mają nielada udrękę przy wyborze: **Starogard** czy **Starogród? Białogard** czy **Białogród?** Burmistrz i urzędy zawieszają szyldy z nazwą Starogród. Dziennikarze upierają się — i dodajmy: słusznie — przy „gardzie". A jakże czują się mieszkańcy pięknego nadmorskiego osiedla Sorenbom(sic!)? Czy im ta nazwa przechodzi przez gardło? Sorenbom! — tak pisze „Głos Nadodrzański". Jeżeli chodzi o Pomorze Zachodnie, to zagadnienie powrotu do nazw polskich rozwiązuje się na podstawie atlasu geograficznego ks. S. Kozierowskiego, ale ta praca wymaga gruntownego, językoznawczego przerobienia. Dla Śląska przygotowuje prof. W. Taszycki i prof. W. Semkowicz wraz z pomocnikami porządny, o źródła historyczne oparty skorowidz miejscowości na zamówienie Instytutu Śląskiego. Pożyteczny jest „Skorowidz Śląska Dolnego i Opolskiego" dr A. Wrzoska, dołączony do mapy doc. J. Szaflarskiego. Wiadomo mi, że Instytut Bałtycki ma w planie podobny, gruntowny, oparty o materiał historyczny i współczesny skorowidz miejscowości Prus Wschodnich i Pomorza nadwiślańskiego. Te wszystkie usiłowania: Instytutu Śląskiego, Bałtyckiego i Zachodniego w Poznaniu (bo i ten rozwinął ożywioną działalność na tym polu, wydając „Słownik nazw miejscowych", zesz. I—II) wymagają oparcia się o naczelne **Urzędowe Biuro Geograficzne**, złożone z fachowców językoznawców, historyków, geografów oraz z przedstawicieli odnośnych instytucyj naukowych. Najlepiej było by zorganizować takie Biuro w porozumieniu z Ministerstwem Administracji przy najwyższej w Polsce instancji nauce poświęconej, przy **Polskiej Akademii Umiejętności.**

Nazwy geograficzne to ważna, niejednokrotnie jedyna i dlatego bezcenna ojczysta księga, księga kultury duchowej i materialnej narodu, z której językoznawca odczytać może — tak jak prehistoryk, archeolog ze swojej księgi — prastare dzieje. Te skamieniełiny językowe przetrwały w skostnieniu wieki całe, urągając wiekowej germanizacji. Z najbardziej zniekształconych nazw wyłazi polskie szydło z worka. Najpiękniejszy pomnik kultury duchowej i materialnej pozostawili po sobie Ślężanie i Pomorzanie w tych niezliczonych nazwach geograficznych. Niemal każdy skrawek pola, każdy płacheć roli, każda niwa zroszona ich potem, a nieraz i krwią; lasy, puszcze, święte gaje, dąbrowy, bagna, jeziora, tonie, strumienie świadczą o ich dziedzicach, o śląskich czy pomorskich wojach, ratajach, zdunach, rybitwach.

Gdy językoznawca otwiera tę księgę geograficzną Śląska czy Pomorza, zmurszałą od czasu, tu i tam przez wypadki dziejowe mocno wystrzępioną, zapaskudzoną przez przeróżne doczepki niemieckie: **-hofy, -bergi, -waldy** itp., to przypomina sobie najnowszy niemiecki „Drang nach Osten" przez niemczenie polskich miast tzw. „Generalgouvernement". Krakau, Lietzmanstadt, Kressendorf, Reichshof to były „urdeutsche Städte". Tu 5 i pół roku niewoli, tam całe wieki jarzma pracowały nad systematycznym zacieraniem polskości nadodrzańskich ziem. Tu pozostawiono jeszcze i na razie w spokoju miasteczka i wsie. Tam reżim hitlerowski w latach 1934—8 postanowił przeprowadzić generalną czystkę polskich nazw miejscowych.

Ta masakra polskości nie była pozbawiona momentów komicznych. „Bund Deutscher Osten" wydał we Wrocławiu broszurę: „Welche Namen wähle ich?", z którym to piśmidłem opolskie „Nowiny" prowadziły — jak pisał E. Osmańczyk w zacytowanym już artykule — zażartą walkę. W gmachu rejencji w Opolu znalazł on cały regał skoroszytów z napisem „Zmiany nazw miejscowości na Śląsku od 1922—1939". Litania zmian. Niektóre zmieniano trzykrotnie i trzykrotnie płodzono pseudo-etymologie. Ot np. sprawa **Kędzierzyna,** ważnego węzła kolejowego między Raciborzem a Opolem, ochrzczonego na **Kandrzin** (czyt. Kandrcin). W podręcznikach szkolnych skonstruowano następującą „naukową etymologię" o germańskim pochodzeniu nazwy: ludzie na widok pierwszej kolei żelaznej, biegnącej z Opola do Raciborza, widząc parowóz bez koni zawołali: **kann der ziehen?;** a pasażerowie podchwycili ten okrzyk zdumienia i ku zdumieniu wszystkich — a naszemu ubawieniu — nazwali tę miejscowość **Kandrzin.** Pomyślmy, że niejeden mały **Kędziora,** może o **kędzierzawych,** jasnych włosach słuchał tych wypocin pseudonauki niemieckiej o polskim Kędzierzynie.

W każdej księdze są wstępy, więc i w tej miejmy cierpliwość przeczytać garść uwag ogólnych o imionoznawstwie. Będą w tej księdze rzeczy wspólne wszystkim ludom na mocy podobieństwa zasadniczego duszy ludzkiej, ale obok tego będą w niej rzeczy odrębne, narodowe, na mocy odrębności duszy narodowej. W prostych warunkach bytu wśród przyrody twardej nazywał Słowianin, Ślązak czy Pomorzanin ziemię o wiele szczegółowiej, dokładniej, niż się to dzisiaj dzieje. Umiał podpatrzeć jej barwy **(Biała, Czerwona, Rudno),** jej ukształtowanie **(Góra, Nizina),** jej charakter geologiczny **(Glinki, Piaski, Kamieniec),** jej florę **(Dęby, Lipno, Brzozów),** jej faunę **(Wilki, Koźle, Sarny).** Umiał zmieniać konfigurację terenu w miarę potrzeby swojej i dla obrony swojej. Stąd liczne miejsca obronne **Grodziskami** nazywane, stąd **Osieki** = miejsca osieczone, ogrodzone płotem, strzegące dostępu do granic państwa. Ale nie tylko mówią nam nazwy o skorupie ziemskiej (są to tzw. nazwy topograficzne czyli terenowe), ale i o człowieku, o jego pracy, o jego indywidualnej czy rodowej własności. W tych odosobowych nazwach wypowiadał się już człowiek, pewniejszy swojego „ja", wypowiadał się jako założyciel osady, stąd nazwy tzw. dzierżawcze, wskazujące na indywidualnego właściciela (**Namysłów** = osada Namysła, **Chorzów** = osada Chorzy). W nazwach tzw. patronimicznych, odojcowskich, wypowiadał się cały ród, stąd **Mysłowice** = osada Mysłowiców, potomków Mysła, **Siemianowice** = Siemianowiców itp. Z nazw służebnych dowiemy się, gdzie i jakie zawody uprawiano. Dowiemy się, że w **Bobrownikach** byli hodowcy bobrów, w **Łagiewnikach** łagiewnicy czyli wyrobnicy łagwi tj. beczek, w **Piekarach** piekarze, w **Winiarach** winiarze, uprawiający winną latorośl dla produkcji wina mszalnego.

W tej księdze toponomastycznej nie brak aktualnego rozdziału: walka niemczyzny z polskością w świetle nazw miejscowych. Zaczęła się ona od najdawniejszych czasów. Już w księdze uposażeń biskupstwa wrocławskiego z XIII w. czytamy polsko-niemieckie pary nazw, w których forma niemiecka jest dosłownym tłumaczeniem formy polskiej: villa Psarze sive Hundern, to późniejsze niemieckie Hünnern. W miarę postępu germanizacji nie zadawano sobie trudu z tłumaczeniem, zastępując polską nazwę pierwszą lepszą niemiecką, na chybił trafił wybraną. Mógł **Osiek** być ochrzczonym na **Andreasdorf**, mógł **Kędzierzyn-Kandrzin** przybrać nazwisko SA-führera **Heydebrecka**, szefa bandy Orgescha, bijącej się z powstańcami śląskimi w 1921 r. o Kędzierzyn, dlaczegóżby nie można było aż 70 Friedrichów, 100 Heinrichów, Heinzów i Hinzów z uroczą przyczepką -dorf, -feld, -burg, wpakować do śląskiego imiennictwa geograficznego. Wiele było sposobów zacierania polskości nadodrzańskich nazw miejscowych, narzucania im niemieckiego wyglądu. Skutki germanizacji poczyniły zastraszające spustoszenie w zasobie naszej toponymii nadodrzańskiej. Dość przyjrzeć się pierwszej lepszej przedwojennej mapie Śląska Dolnego, Środkowego czy Pomorza Zachodniego, aby się przekonać, jak bardzo niemieckie stało się imiennictwo miejscowe tych okolic. Gdzie rzucić okiem na mapę, tam z szyderczym uśmiechem narzuca nam się to Kunzendorf, to Hohendorf, to znów na odmianę Rothkirch, Buchwald, Schönborn, Altwasser i tak dalej i tak dalej, bez końca! Tu i ówdzie tylko wyłaniają się oazy polskie, ale i tym reżim hitlerowski wydał nieubłaganą walkę.

Jaki stąd wniosek wyciągniemy? Wszyscy — sądzę — mamy jednomyślny plan: generalny chrzest! Chrzest usprawiedliwiony, bo im dalej cofamy się wstecz, tym więcej nazw polskich pojawia się. W większości wypadków nie będzie to chrzest dziecka nieprawego łoża, ale chrzest z rodowodem historycznym. Trzeba tylko postarać się o odpowiednich fachowych ojców chrzestnych, tj. językoznawców, historyków i geografów. Trzeba zorganizować odpowiednie **Biuro** czy **Komisję Geograficzną** — jeszcze raz powtarzam — w porozumieniu z Ministerstwem Administracji, najlepiej przy Polskiej Akademii Umiejętności. Sprawa jest ważna i pilna! Bowiem to, co pisał o języku wielki miłośnik języka ojczystego i filozof K. Libelt, to równie dobrze odnosi się do imiennictwa geograficznego: „Narodowość jest sercem, język jest krwią, ojczyste ciało narodu opływającą. Chcesz poznać stan zdrowia lub choroby narodu, przyłóż palce tam, gdzie tętno języka bije, a poznasz stan gorączki, agonii lub niebezpieczeństwa".

**Usuńmy stan gorączki, choroby z imiennictwa geograficznego! Oczyśćmy jak najszybciej i jak najgruntowniej nasze nowoodzyskane ziemie z niemieckich naleciałości.**

ARTUR SANDAUER

# Sztuka dla sztuki — po raz pierwszy

W ślad za wojskami Aleksandra Wielkiego, które, by strzec świeżo podbitego Egiptu, rozkwaterowano w pogranicznych osiedlach, pojawiła się armia greckich urzędników, by ściągać podatki. Za nimi kupcy i marynarze, wreszcie uczeni i artyści. Na wybrzeżu prastarego Egiptu powstała w ten sposób w III wieku przed Chrystusem ta narośl nowoczesna, greckie miasto, wielotysięczne i handlowe, racjonalnie zbudowane i wolnomyślne — Aleksandria.

U dołu — tłum wielobarwny i wielojęzyczny, Egipcjanie i Syryjczycy. U góry — Grecy, dziesięć tysięcy wybranych. Obojętny był im ten lud bez władzy i bez odrębności i ten kraj ogromny, piaszczysty i obcy. Młody, ambitny człowiek nie zdobywał już teraz, jak niegdyś w demokratycznych Atenach, popularności krasomóstwem rynkowym i działalnością polityczną, lecz usiłował natarczywością podań i protekcyj, zręcznością madrygałów, przebić się poprzez zwarty tłum petentów aż do króla.

Prawda, że i Grecy sami ustępują powoli przed zalewem tubylczej kultury. Już wówczas bóstwa greckie i egipskie zaczynają się łączyć, powstają pierwsze zarysy owych mieszanych religij, które miały w cztery wieki później utorować drogę chrześcijaństwu. W mieście Rakotis wzniesiono świątynię o niepokalanie greckim zarysie, lecz w jej wnętrzu toczył głową i przeżuwał ciężko losy krainy nadnilowej egipski bóg, wół Apis. W Aleksandrii co wiosny, w łomocie bębnów i świście piszczałek kapłani — derwisze raczej — wschodniej bogini Cybele tańczyli gromadą przez ulicę, a piana ze szminką ciekła z ich warg, pogryzionych w religijnej ekstazie. Podobnie działo się na dworze. Trzeci z dynastii, król Ptolemeusz, ku wielkiemu oburzeniu swych greckich rodaków pojął obyczajem Egipcjan własną siostrę, Arsinoe za żonę: dworacy, oczywiście, przyjęli ten fakt z zachwytem i nawet nadali monarsze przy tej okazji przydomek Filadelfa czyli „kochającego rodzeństwo". Skandal tym niemniej powstał: naruszenie moralności greckiej było zbyt jaskrawe. Te obyczajowe przeobrażenia zmieniły również wygląd zewnętrzny członków dynastii: jeżeli pierwsi trzej Ptolemeusze mają jeszcze na monetach i kameach ostrość i czystość profilu i ową chłodną srogość, czyniącą zło z wyrachowania, to w opasłym ciele czwartego z nich, Ptolemeusza Eupatora, kryje się już tylko bezpłodne okrucieństwo barbarzyńskiego despoty.

Dłużej, niż monarchowie i lud, w wierności dla ginącej kultury greckiej wytrwała sztuka. Wiek III. przed Chrystusem, o którym mówimy, to tylko początek tego, setki lat trwającego, procesu jej kostnienia. Już wówczas artysta aleksandryjski przechodzi obojętny, a co najwyżej z bezinteresowną ciekawością obserwatora, pośród otaczającego świata. Wyszedłszy o szarym świcie, gdy śpi jeszcze miasto, na ulicę, gdzie słychać turkot wozów dalekich i plusk morza w molo, niedosłyszalny za dnia, gdzie widać, jak skradają się i giną w zaułkach podejrzane postacie, czuje on, jakie to smutne, ale zarazem, jak oryginalne, że jemu, poecie aleksandryjskiemu, dnia nie zwiastuje już, jak klasycznym Grekom, wschód różanopalcej jutrzenki, lecz znikanie rzezimieszków po norach. Oto, jak pierwszy urbanista świata, poeta III w. Kallimach opisuje swoistość wielkomiejskiego poranka:

**Nuże wstać! Już po łowach złodziej odpoczywa.**
**Już za oknami ranne widnieją łuczywa.**
**Kędyś tam nosiwoda śpiewa pieśń nad studnią.**
**Budzi się, kto ma domek tuż przy głównym trakcie:**
**Skrzypią osie u wozów, a młotami w takcie**
**Grubi kowale głucho o kowadła dudnią.**

Zdając sobie sprawę, jak potężnym instrumentem propagandowym jest sztuka, król Ptolemeusz Filadelf założył t. zw. Muzeum, gdzie skupiali się wędrowni literaci i uczeni i znajdowali towarzystwo równie wyborne, jak i obiady. Tu, powodowani chęcią uwspółcześnienia starożytności, opowiadają sobie skandaliczne anegdotki o dawnych pisarzach, doszukując się w ich dziełach aluzyj do ich życia osobistego. Tu, poza plotkarstwem literackim, zajmują się także antykwaryczną i naukową pracą. Poprawiają stare, uszkodzone teksty i nieraz całe miesiące ślęczą nad wyświetleniem niezrozumiałego miejsca. Pochyleni w nocy nad księgami, podpatrują styl klasycznych pisarzy i język ich staje się coraz bardziej subtelny i niezrozumiały. Piszą wszystkimi, dawno już martwymi dialektami oprócz narzecza współczesnego, kojne, którym mówi ogół. Już wówczas, bowiem, jak po dziś dzień, istnieją w Grecji dwie mowy zupełnie odmienne, literacka i codzienna, pełna najpierw domieszek egipsko-syryjskich, a potem łacińskich i tureckich. A w miarę, jak ta garstka artystów i uczonych bardziej się wysubtelnia, rośnie dookoła nowy, niepostrzeżony i wzgardzony przez nich świat, by wreszcie i ich z nadejściem chrześcijaństwa ogarnąć.

Nigdy Grecja nie była tak piękna i pogodna, jaką się wydaje olśnionemu oku późnego jej potomka. Prawdziwa klasyczna Hellada była posępna, orientalna, pełna zabobonów i bała się duchów nocnych jeszcze więcej niż bogów. Dopiero w III w. wzniosła się w powolnej apoteozie ku obłokom i została tam już na zawsze, wychylona różowymi stopniami z marmuru i zrąbkiem kapitelu. Dopiero III wiek stworzył posąg Apollina belwederskiego z włosami odrzuconymi, z napiętym łukiem i ze wzgardą we wargach i Satyra, który potrząsając ekstatycznie kosmatym łbem i podnosząc jedną nogę, podnieca się melodią piszczałki do tańca. Rzeźby te są tak typowe w swej doskonałości, że aż banalne. One to jednak narzuciły światu legendę o greckości, harmonijną i nieco bladą. Jest to pierwszy w dziejach pseudoklasycyzm.

Epoka aleksandryjska umiłowała obrazki na wpół naiwne, które budzą zadumę i uśmiech, ciche wnętrza, dokąd życie zdaje się przeciekać dalekim szumem. Kolory są zatarte, gęstość postaci jakby zmniejszona. Złagodziła zbyt cierpki dla niej smak rzeczywistości, przepuszczając ją przez filtry poetyckiej stylizacji. Lecz coraz świadomiej odbywa się to przesączanie. Coraz lepiej oblicza się kąt, pod którym trzeba nadstawić umysł, by odbijał światło dnia powszedniego estetycznie. W aleksandryjczykach greckość dostrzega siebie samą i, jak kobieta przed lustrem, zaczyna się kokieteryjnie stylizować na bardziej nieskazitelną i klasyczną, niż była kiedykolwiek. Lecz zbyt czysty, zbyt zakochany w sobie jest ten hellenizm, by mógł być naturalny. Sztuka staje się powoli sztucznością.

Tematy są już niczym więcej, jak pretekstem dla artysty aleksandryjskiego. Nie ma konieczności w jego dziele, jak nie ma jej w ówczesnym życiu. Bo gdy w okresach rozkwitu wyraźna i nieodwołalna jest treść, jaką społeczeństwo poddaje artyście i nie ma dlań wyboru i wahań, każde dążenie ma swój cel w jakimś przedmiocie, każda instytucja swe usprawiedliwienie w jakiejś potrzebie, to w czasach schyłkowych zarówno uczucia ludzkie, jak i instytucje, przeżywszy siebie, nie znajdują już odpowiednika w rzeczywistości: własny kaprys staje się jedynym prawem dla artysty.

Z przedmiotów wyczuwa on już nie ich wnętrze, powagę życiową, lecz tylko politurę ich powierzchni. Toteż epoka aleksandryjska lubuje się w miniaturze — rodzaju sztuki, który insynuuje, że jedynie ważny w rzeczach jest ich blask. Wydaje się, jakoby najprawdziwsza cząstka jej zmiennej duszy została w żłobieniach klejnotów; w wazach, na których z filigranowymi dziewczątkami tańczą maluczcy młodzieńcy; w cierpliwej robocie składanych w mozaiki kamyczków. Dokonuje ona nawet wielkiego wynalazku w tej dziedzinie: odkrywa dziecko. U Herondasa, pisarza tej epoki, występuje po raz pierwszy prawdziwy sztubak, który zbija bąki i szyby, ma zawsze gotowy sposób, by wymknąć się opiece wychowawców i któremu po prostu nie chce się uczyć. I trzeba było dopiero artysty aleksandryjskiego, by go dojrzeć za załomem muru grającego w kostki z kolegami, wyciągnąć stamtąd zamorusanego i rozczochranego na scenę i powiedzieć zdumionemu światu: „Oto jest".

Okres aleksandryjski widzi wszystko w pomniejszeniu. Nawet Eros, drapieżne i niepokonane bóstwo epoki klasycznej, przed którym korzył się w przerażeniu chór sofoklesowy, teraz na obsadkach szpilki do włosów się mieści lub nad brzeg czary z winem wychyla swe kręcone loki, złocone końce skrzydeł i różki strzał pierzastych, zatkniętych w kołczanie. I on również stał się dzieckiem i w miarę postarzenia epoki odmłodniał. Z niego to ród swój wywodzą późniejsze pyzate amorki, hasające po ogrodach pseudoklasycznych. Lecz, jeżeli zmalał, to stał się przez to zwinniejszy i bardziej okrutny. Z bezwzględnym egoizmem istoty nieodpowiedzialnej trwa we wiecznym tańcu nad cierpiącym światem. Sobie samemu jest tylko zachwytem i igraszką.

Własną kapryśność i nieistotność rozpoznała epoka aleksandryjska w tym bóstwie. Bo wielbi ona naprawdę nie Zeusa, ani Apollina, lecz tylko jedną moc: Przypadek (Tyche). Jemu to wznosi najliczniejsze świątynie. Religia ta uczy, że wszystkim rządzi niespodzianka, że człowiek jest zdany na siebie, nie wiedzą o nim bogowie i nie troszczą się śmiertelni. Jednym z wyrazów tej wiary w kapryśność losu jest właśnie Eros, istota niekonsekwentna, czyniąca zło nie tyle przez chęć szkodzenia, ile przez brak szacunku dla prawidłowości życia. A żywym jej wcieleniem byli słynni awanturnicy tej epoki, Demetrius Zdobywca Miast lub Pirros z Epiru, zjawiska fascynujące i groźne, które swym przybyciem znaczą zawsze koniec kultur. Ruchliwi, jak iskry elektryczne, gdziekolwiek się pojawili, wzniecali pożar, a ich zmienność i nieuchwytność rzucała potężny i symboliczny urok na współczesną im epokę. Lecz jej marzenie uleciało gdzie indziej, ku naiwności i ku spokojowi epoki klasycznej i stąd właśnie narodził się ów sielankowy romantyzm aleksandryjski, którego istotę stanowi sprzeczność między kaprysem a potrzebą stałości, między kpiącym uśmiechem a tkliwością dla wszystkiego, co nieskomplikowane i proste. Smak ówczesny lubi zestawiać istoty kapryśne, ślizgające się po powierzchni z takimi, które pochylają się nad swym dziełem w ciężkim skupieniu. Wyraził się tu kontrast między epoką samą a jej tęsknotą za przeszłością. Najwspanialsza wizja poetycka wielkiego sielankopisarza tej epoki, Teokryta, zrodziła się z takiej właśnie antytezy. W jednej z jego sielanek na wazie

**Widać postać kobiety, rzeźbioną przedziwnie,**
**Strojną w peplos i wieniec wśród galantów grona,**
**Ufryzowanych i kłótliwych. Ale ona**
**Nie dba i raz śmiejąca temu główką kiwnie,**
**Raz na innego mruga. Próżne ich zaloty**
**I trud próżny, choć biją na nich siódme poty.**

A tuż

**Obok na poszarpanym, nadmorskim cokole**
**Z pośpiechem ponad fale rybak-starowina**
**Ciągnie więcierze długie w nadmiernym mozole.**
**Rzekłbyś, że wszystkie mięśnie w wysiłku napina,**
**Łowiąc: tak muskułami napęczniały bary.**
**Siwy on jest i stary, ale jeszcze jary.**

Lecz na opisanej wazie jest jeszcze ktoś trzeci: mały chłopczyna przysiadł u stóp żywopłotu, przez który przechylają się złote i wypukłe grona. Pora jest jesienna i wino już dojrzewa. Zapewne matka go wysłała, by strzegł winnicy przed zwierzem i ptactwem polnym i dała mu na drogę torbę ze śniadaniem. Korzystając z roztargnienia wartownika, podkradają się dwa lisy złodziejaszki i jeden już ogryza latorośle, gdy drugi, wsunąwszy pyszczek do sakwy, lewym okiem zerka ostrożnie ku właścicielowi, gotów każdej chwili uskoczyć przed furczącym kamieniem. Lecz tamten naprawdę nie wie, co się dookoła niego dzieje, bo z ogromną powagą dziecka i artysty plecie pastkę na szarańcze:

**A tuż opodal starca, co żył nad głębiną,**
**Pod śniadymi gronami pięknie się ugina**
**Winnica, której strzeże spod murka chłopczyna.**
**Tuż dwa lisy: dostałe z latorośli wino**
**Łupi jeden, przy mieszku drugi się zacza**
**I prawi, że nie prędzej go popuści, zanim**
**Chłopięcia nie usadzi przed postnym śniadaniem.**
**Lecz on pastkę szarańczom plecie z źdźbeł i spaja**
**Trzciną wodną. Ni mieszek ni tyle sad winny**
**Mu w głowie, ile własne raduje go dzieło.*)**

Ta istota, która łączy w sobie lekkość zalotnicy bez jej kapryśności i skupienie rybaka bez użytkowości stanowi — zdaje się mówić współczesnym językiem Teokryt — syntezę kontrastów, między którymi oscylowała jego epoka. Pierwszy raz w dziejach sformułował on w ten sposób postulat sztuki czystej. Oderwani od ludu, rzuceni w obcy im monarchiczny kraj, którego losy rozstrzygały się poza nimi, poeci tego okresu nie tworzyli już wielkich komedyj politycznych, jak Arystofanes, ani kosmicznych tragedyj, jak Ajschylos. Stać ich było co najwyżej — i to tylko w początkowym okresie tej wielowiekowej dekadencji — na cyzelowanie literackich cacek. Nie znaczy to, jakoby nie tworzyli dzieł propagandowych. Sam Teokryt napisał na zamówienie Ptolemeusza Filadelfa sielankę, w której sławi służbę wojskową jako najlepsze lekarstwo na zawiedzioną miłość. Lecz hasła sztuki czystej i propagandowej mimo swej sprzeczności pojawiają się w pewnych epokach, jako uzupełniające się nawzajem antytezy. Tylko tam, gdzie sztuka dwoistość tę przezwycięża, gdzie wynika naturalnie z konieczności historycznej, osiąga ona nie doskonałość formalną tylko; ta bowiem była również udziałem artystów III wieku, ale także i to, co im zostało odmówione — wielkość.

*) Przekłady autora artykułu.

JÓZEF NACHT-PRUTKOWSKI

Te wiersze powstały wśród huku dział, wśród żołnierzy. Nie miały żadnej recenzji, nikt ich nie klasyfikował, kwalifikował, analizował. Te wiersze nigdy nie były czytane; zawsze recytowane i słuchane. Ich fragmenty towarzyszyły żołnierzom w natarciu, marszu, na warcie.

## Do pani

W moich marzeniach twój wzrok pełen łaski
I twoja postać co za serce targa,
Lecz w twojej główce ciągle tylko gwiazdki,
Wciąż liczysz paski, marząca paskarka.

Szukasz ich co dzień, w kasynach, w stołówkach
W odbiciach tafel, zwierciadeł i bajor,
Wciąż marzy o nich twoja biedna główka
Gwiazdka, dwa paski, wytęskniony major.

A ja się jakoś nie potrafię wybić,
Choć też dwa paski noszę dość swobodnie,
Lecz jeden pasek okrąża mą kibić,
A drugi pasek przytrzymuje spodnie.

A jednak chciałbym tam do ciebie pobiec,
I krzyknąć głosem wzruszonym ogromnie,
Pani, ja jestem zwykły szeregowiec,
Lecz mimo wszystko uśmiechnij się do mnie.

Ja także czekam awansów szalonych,
Gwiazdek i pasków, orderów zaszczytnych,
Daj mi dwa paski twoich ust czerwonych,
Daj mi dwie gwiazdki twych oczu błękitnych.

Tak, jutro rano chcę do ciebie pobiec,
Nie, jeszcze dzisiaj, już krzyknąć ci pora,
Pani, ja jestem zwykły szeregowiec,
Lecz moja miłość jest w stopniu majora.

## Odznaczenia

Tylem się nawalczył, namęczył, nabiegał,
Przeszedłem z bronią szlak krwawy i długi,
Żeby choć awans, żeby jakiś medal,
A mój kolega dostał „Krzyż Zasługi"

Razem kopaliśmy strzeleckie rowy,
Razem dzieliliśmy się snem i kocem,
A dziś ja ciągle jestem plutonowy,
A on, kapitan, gwiazdkami migoce.

Szlag może trafić z żalu i rozpaczy,
Ciężko, gdy krzywda w mózg się nagle wplątą,
Znów pominęli, znów żadnych odznaczeń,
Cały dzień wściekły brnę z kąta do kąta.

Lecz za to nocą, ja, generał wierszy,
Przyjmuję cudną nocną defiladę,
I raport składa mój adiutant pierwszy:
Srebrzysty księżyc ze wzruszenia blady.

I wtedy nagle wszystko się odmienia,
Znika i niechęć i gorycz i troska,
Miliony gwiazd, najdroższe odznaczenia
Wręcza mi Wolna, Niepodległa Polska.

## Powrót

Wiatr już łagodnie niebo wytarł,
A ptaki kluczem wiolinowym
Otwarły gwiezdny szlak nutowy
Drzewom-orkiestrze głuchych gitar.

Gwiazdy, srebrzyste nuty, rzędem
W las kompozycję swą przeniosły.
Aż tysiąc drzew stanęło dębem,
Gdy zaśpiewały graby rosłe.

Oto jodłują młode świerki
A jodły świerszczą swoje wiersze,
Aż sny spłoszone z leśnej derki
Na bliską szosę pieszo pierzchły.

I tutaj sny zmienione w jawę
Splatają się z żołnierską gęstwą.
Wiozą z Berlina do Warszawy
Polscy żołnierze swe zwycięstwo.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

## Drzewo rodowodu

Garbaty, pokraczny pniak — mój ojciec,
dziadek: — spróchniały świeci korzeń,
lekka kość w ziemi — pradziad Wojciech, —
a wnuk w koronie gruszy gorze.

O cenie poezji, o twardy bluszczu pochodu,
filozofio prosta:
na początku próchno, mglistość —
i melodia jak wiązanie mostu,
hymn strzelisty,
złoty
snop!

Inaczej: co gryząc korę, łowił uchem chłop,
syn — kowal przeczuł w dzwonie młota,
wnuk to w organach rozgędził,
prawnuk zagrał w księdze.

## Dziewczyny na wozach

Jeśli na wozy, jadąc, dziewki,
przyjmiecie raczkujące dziecka,
za pługiem nucić będą śpiewki
skrzaty — ich zabaw towarzysze.

Pojadą błogo zamyślone
z muzyką skrzypiec ze zapiecka
i lalką z kolorowych szmatek
i dzwoniąc w siemię, zakurzone
plewami słodół, staj, gniazd myszy
dziecięta — skrzaty.

U pola gawiedź skoczy w bruzdy
i pod cienistym dębem siędzie,
uczepi się u końskiej uzdy
i pocznie tłuste rwać żołędzie.

Tak kajś jechali dzwonno, strojno
po miedzach białych i rozłogach
z manewrów przed daleką wojną
ułani konno i w ostrogach.

Niech skrzaty wam całują ręce
i piszczą partyzanckie nutki, —
jedźcie, żegnajcie dzień tak krótki, —
nie wróci z „pola" nikt już więcej.

# W OCZACH PISARZY*)

## Ankieta „Odrodzenia"

**Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:**

**Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.**

**Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.**

**Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.**

### STOSUNEK DO RZECZYWISTOŚCI WOJENNEJ?

Tyle było tych rzeczywistości wojennych! Dla jednych była to walka, dla drugich wyczekiwanie nagłej i niespodziewanej śmierci z rąk jakiego komiwojażera niemieckiego, subiekta sklepowego, piekarza czy krawca, co przywdział mundur SD albo SS, dla wszystkich była to straszliwa klęska i — jakże często — rozpacz! Padały bomby burzące i zapalające, zajeżdżały auta z żandarmami, czasem za dnia, czasem w nocy. Napięte nerwy, przyśpieszone tętno serca, daremne usiłowania zrozumienia koszmaru hitlerstwa. Na Pawiaku marzenie śród straszliwego ścisku, smrodu i zaduchu, jak dobrze było by mieć własny siennik w jakiejś sieni, czy na jakim strychu. Chore serce tłukło się w piersi boleśnie, gdy wieźli na przesłuchanie w Aleje Szucha i gdy jakiś pętak z SD kazał siadać na podłodze ciężarówki, zatłuszczonej smarami, pokrwawionej, zaplugawionej. „Szedżycz!" Potem kazali siedzieć godzinami tyłem do korytarzyka i odczytywać napis na ścianie: „Milczeć!" Potem badanie, pytanie o rzeczy takie i owakie, o ludzi, o przyjaciół już zabitych, o znajomych, przepadłych w niewiadomym... Marzenie o powrocie na swój siennik na Pawiaku, o łyku chłodnej wody, wspominanie leków, które przynosiły ulgę, ale których tu nie było. Nienawiść do pluskiew, które nie dawały spać, odraza do krwawego błazna i każdego słowa jego, których tyle puszczał w obieg, i on sam, i jego czereda. Potem dom, szklanka herbaty, czyste łóżko, lekarz i bolesna zaduma nad tym, że człowiek wczorajszy, Niemiec, syn narodu myślicieli i poetów, stał się z dnia na dzień... czym? Och, nie obrażać bydlęcia bożego ani zwierza drapieżnego przez nazywanie Niemców bydlętami i zwierzętami! Świadomość, że tępogłowy potworek z jakiegoś panopticum piekielnego szaleje bezkarnie i nie jest w stanie pomyśleć, że śród jego ofiar są tysiące takich, które go przewyższają o całe nieba pod względem umysłowym i moralnym, budziła odrazę do całego świata, na którym coś tak potwornego i głupiego zarazem, jak hitlerstwo, jest możliwe. Żyło się na godziny, czy na minuty nawet. Niedobrze było spotkać na ulicy żandarma, gorzej — dwóch żandarmów, gdy chadzali parami, w dęciakach, tłuści, źli, że muszą łazić i łapać ludzi, zamiast siedzieć sobie wygodnie w swej knajpie przy piwie. Niedobrze bywało, gdy z jakiegoś wysokiego domu powiewała chorągiew „czarnych" z dwiema stylizowanymi na błyskawice literami. Ulice przyczajały się wtedy, o zmierzchu było na nich pusto i nagle przychodził przyjaciel: — Zabieraj się, przenocuję cię u znajomych. — Bo co? — No nic takiego, ale chodź! — Szło się, oczywiście. Potem padały strzały pojedyncze, podwójne, potrójne. Kobiety bladły i żegnały się: — Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie... — Rano znajdowano potem trupy: dwaj młodzi chłopcy, synowie lekarza. W potylicy straszliwe rany, które wszyscy tak dobrze znaliśmy, jak podpis kata. Jakiś robotnik, jakaś biedna dziewczyna, która bez entuzjazmu wyraziła się o hitlerstwie... I to tak parę nocy z rzędu. Potem pewnego poranka obstawiali żandarmi rynek, krzątali się nerwowo, nikogo nie puszczali po wodę. Zajeżdżały ciężarówki z ludźmi w łachmanach, z ustami zagipsowanymi, z czapami papierowymi. Ustawiano ich w paru szeregach pod murem fabryki. Ze szpitali niemieckich wylegali pielęgniarze i pielęgniarki, pokazywali sobie skazańców, śmieli się, bo i jakże, takie to przecie było zabawne! Skazańcy stali i czekali. Och, wieczność całą, zanim wreszcie przyjechali oprawcy w kaskach stalowych, nadęci, ociężali od wyżłopanego piwska. Rękoma dawali znaki, jak trzeba wygodniej ustawić skazańców, żeby było wygodniej strzelać. Wreszcie: salwa! Druga! Trzecia! Pielęgniarki podają żandarmom kwiaty. Pielęgniarze ściskają im ręce. Trupy wrzuca się na ciężarówki. Los! Fertig! Schluss! Aż do następnego razu. Mordercy biorą kwiaty i jadą do sąsiedniego miasta na taką samą robotę. Pojadą potem do trzeciego i czwartego.

Potem jakieś głuche dni zgrozy i duszącej bezsilnej nienawiści. Oczy wznosiły się ku niebu, szukały. Jesteś Boże? Widziałeś? Nic nie mówisz? Łapanki, wywożenia nie wiadomo dokąd. Potem czarne dymy w stronie Warszawy. Potem sąsiednia wieś w ogniu, trzaskanie karabinowych strzałów, Niemcy w bunkrach. Z pociągu pancernego walą armatki na bezbronną wieś. Jakiś oddział powstańczy przebija się przez krąg Niemców, uzbrojonych po zęby. Ludzie wiążą w tobołki łap-cap, co mogą, gotując się na pierwszy rozkaz do ucieczki. Krwawa łuna ciągnie się kilometrami. Tu przygasa, tam rozpala się na nowo, potężnieje. Warczą samoloty, padają bomby. Och, życie na minuty, bądź przeklęte razem z tymi, którzy je światu narzucili!

Więc to była rzeczywistość wojenna. Praca podczas tej rzeczywistości? Taka, do której potrzeba pogodnego uśmiechu, była wykluczoną. Na sercu leżała ciągle krew niepomszczonych braci, nocą przed domem stawało szare auto, postało sobie, jakieś paskudne oczy patrzyły w milczące zaciemnione okna, odjeżdżało powoli i niezdecydowanie. Rano mówiono sobie, że wyłowiono z 200 ludzi i wywieziono na Pawiak. Warszawa płonęła i horyzont był coraz ciemniejszy. Potem wieziono pociągami aresztantów z Warszawy. Ludzie przynosili kartki brudnego papieru. „Proszę serdecznie oddać pod adresem państwa N... Jedziemy do Oświęcimia. Jesteśmy zdrowi i dobrej myśli. Nie martwcie się o nas. Będzie dobrze..." Szary papier, gruby, brudny, pismo ołówkiem chemicznym. Podpisy przyjaciół. Dużo było tych kartek.

I teraz mam widzieć tę rzeczywistość wojenną oczyma **już wyzwolonymi.** Wyzwolonymi od czego? Od tego koszmaru hitlersko-himmlerowskiego i esesowsko-żandarmskiego? Od tych szeregów w czarnych czapach na głowie i z rękoma powiązanymi na plecach? Nie, normalne ludzkie oczy nigdy od tego nie będą wyzwolone. Przecież ze wszystkich stron nadchodziły wieści o powieszonych, o ściętych, o zagazowanych... 24 wisielców w Cieszynie, 34 trupy rozstrzelanych w Żywocicach, stu zamordowanych w Warszawie... I znowu: 40-tu w Warszawie, 27 w Łodzi, 17 przy torze kolejowym tam a tam. Kogoś wyprowadzili z wagonu kolejowego: starszy pan i smutna pani w żałobie. Zaprowadzili w zaciszne sąsiedztwo. Ludzie widzieli te blade twarze, tragicznie zdziwione jakieś, zaskoczone... Młody lekarz, dobry znajomy, jadący na ślub do Warszawy, wyciągnięty z wagonu z dziesiątkami innych i rozstrzelany ot tak sobie, bez korowodów. Zwykły przydział śmierci. Oczyma wyzwolonymi? Te oczy wyzwolone szukają po gazetach wieści o sądzie nad tymi zbrodniarzami i nie znajdują ich. Miliony pomordowanych i kilkunastu skazanych. Dysproporcja straszliwa. Niemiec musi się śmiać straszliwie na myśl, że tak się ze zbrodniarzami cackają, że tak się ich boją, że takie przyznają im prawa herrenvolkowe. Bo inaczej Niemiec tego nie zrozumie. Rozumie on tylko siłę i to siłę twardą, okrutną, nieubłaganą.

Oczy nie są wyzwolone. Niemiec jest osaczony, więc się przyczaił, ale dopóki będzie Niemcem, nie przestanie myśleć o podboju świata, o rozkoszy mordowania i robienia miejsca dla siebie. Jakież tu można mieć zamierzenia na przyszłość? I to zamierzenia artystyczne? Widziałem chłopa, wygnanego w trzaskający mróz boso, widziałem biednego Żyda, którego Niemcy zamknęli zimą w komórce czy chlewie. Chłopa wygnano z Poznańskiego. Ktoś się tam nad nim zlitował i dał mu jakieś stare buty i paletko, ale chłop był straszliwie smutny, bo żonę popędzono w inną stronę, dzieci w inną. Żyd miał odmrożone ręce i nogi, wył z bólu, zastrzykiwano mu morfinę. Lekarz uciekał od strasznego widoku, bezradny, zrozpaczony. A przecież to szło w miliony. Chodziło o pomnażanie cierpienia, **o terror na zapas,** żeby wszyscy drżeli wobec wścieklizny niemieckiej, gdy ta znowu wybuchnie. Nie wypędzało się wszak ludzi latem, ale zimą, gdy był mróz trzaskający. Któż nie widział ludzi stojących rzędami na mrozie, czekających na pociąg i oblewanych przez Niemców wodą, która zaraz zamarzała? Gdzie jest Sofokles dla takiej tragedii? Nad jednym Edypem, nad jedną Antygoną tyle razy płakaliśmy sami, płakali inni. A tu iluż Edypów, ile Antygon! Gdzie są sędziowie? Dlaczego milczą? Czyliż nie rozumieją, że Warszawa została zniszczona jako wstęp do trzeciej wojny światowej?

Już się organizuje miłosierdzie dla katów, dla tych masowych morderców o tłustych zadach i grubych karkach, dla niemieckich Gret, które znęcały się nad kobietami w Ravensbrück i indziej, które nosiły biżuterię tych, co same w śmierć zapędziły. Ale kto organizuje miłosierdzie dla ofiar? Dla milionów pomordowanych i dla milionów opłakujących ofiary niemieckiego zbójectwa? Zamierzenia na przyszłość? Zainteresowania? Mogą być chyba tylko jedne: uczynić wszystko, **aby nikt nie zapomniał,** że w latach 1933—1945 (a może znacznie dłużej?) ludzkość stała po jednej stronie, Niemcy po drugiej. Dla jednych były najbogatsze przydziały i najwspanialsze łupy, dla drugich straszliwy wyzysk, tortury, praca nad siły, komory gazowe, krematoria, egzekucje uliczne, przydział śmierci. Są tacy, co nie chcą już o tym słyszeć. Że już dość, że już powiedziano wszystko. Nie, dotychczas zarejestrowano wiele, nie powiedziano nic. Co zacz Hitler, Himmler, Ribbentrop i te wszystkie Keitle, Brauchitsche, opasłe Goeringi, Blaskowitze, Rommle, Mannsteiny i inni zbrodniarze? Skąd się wzięli? Skąd mieli prawo mordowania milionów? Czyż milczący nie staje się wspólnikiem i współwinowajcą sprawców?. Jeden Edyp i tysiąclecia współczucia! A tu miliony Edypów, Jokast, Antygon... Musimy prześwietlić całą tę potworność niebywałej zbrodni i dopiero wówczas, może dopiero wówczas wolno nam będzie powrócić do naszych zamierzeń i zainteresowań, och jakże niewspółmiernie malutkich wobec jednej transzy rozpaczy Majdanka, obec jednej doby Oświęcimia, wobec jednej publicznej egzekucji warszawskiej, w której poginęli może wielcy odkrywcy i wynalazcy jutrzejsi, o ileż godniejsi życia od nas, którzy zaczynamy tak szybko zapominać!

**Paweł Hulka-Laskowski**

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiego, K. Brandysa, T. Brezy, J. Brzostowskiej, K. Czachowskiego, T. Czyżewskiego, H. M. Dąbrowolskiej, St. Flukowskiego, M. Jastruna, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, St. Podhorskiej-Okołów, J. Przybosia, H. Wielowieyskiej, E. Szelburg-Zarembiny, J. Zawieyskiego i J. Zagórskiego w nr nr 13—28, 30—33, 35—36 oraz w nr 38 „Odrodzenia".

# Kiedy padła wieść, obywatele...

Kiedy padła wiadomość o odkryciu bomby atomowej, mnóstwo osób przywitało ten uczony prezent radością. Sam cieszyłem się tym podarunkiem jak dziecię.

Widziałem najwyraźniej jak w cieniu zachodzącego słońca kapituluje przedostatni partner nieboszczyków, jak Mikado odchodzi (niestety, nie odchodzi, ale tylko dlatego, że fraucymer się ociąga) że swym fraucymerem na stołówkę do króla Kambodży, jak samuraje znajdują odpowiednio rycerskie i zasłużone miejsce w kopalniach na Alasce, jak gubernatorzy, powodujący ostrzeliwanie kulisów bez ostrzeżenia, otrzymują swój zasłużony przydział, jak gejsze wychodzą za mąż i jak wreszcie powiększa się zastęp emerytów szowinizmu, rozbujałego imperializmu i innych antyhumanitarnych abstrakcyj.

Jestem bowiem dzieckiem czasów nienawiści i mimo swej słowiańskiej, przysłowiowej dobroci, nie żywię najmniejszego współczucia do autorów tej makabrycznej rzeźni.

Z tego też powodu nie żywię urazy ani do Bohra, ani do spółki Jolliot-Curie, ani do innych uczonych, że swą troskliwość o los materii obrócili na wynalezienie tego okrutnego pocisku.

Przetrzebiłem nieco swój przedwojenny humanitaryzm. Nie uważam, aby nauka miała służyć wyłącznie produkcji bandaży.

Jeśli uczeni problem rozbicia atomu zakończyli wynalezieniem bomby a nie skonstruowaniem przyrządu do odgrzewania rosołu, niech to będzie ich chwałą.

Ratują przez to honor wiedzy o życiu.

Naprzód bowiem trzeba się załatwić z szowinizmami, zagrażającymi życiu innych narodów, a później będziemy jeść rosół.

Po uciszeniu się zawieruchy człowiek wojny i tak będzie mógł bez przeszkód odbyć podróż naokoło świata i stanie się to przy pomocy takich samych rozpadających się atomów, jak te, co spowodowały zburzenie Nagasaki.

Wtedy grudka energii, nie większa od ziarna pieprzu, na pewno pozwoli nam dokonąć czynów, których przed zburzeniem Nagasaki nie mogliśmy dokonać przy pomocy sześciu par wołów.

Woły, wyzwolone od trudów, będą z wszelką pewnością szczypać wesoło trawę, będą spoglądać na uczonych z taką samą wdzięcznością, z jaką my, zjadacze amerykańskich, wieprzowych konserw spoglądamy na woły U. S. A.

Poczekajmy! Niech tylko nasi krajowi uczeni poczną rozbijać atomy naszej polskiej gliny.

Zapasów mamy dosyć. Starczy ich na ładne kwatryliony lat.

Kiedy swego czasu, czyli na długo przed odkryciem bomby na nacjonalistów, padła wieść, jakoby jeden z polskich hitlerowców odgryzł jednemu z polskich asystentów palec, nie cieszyłem się jak dziecię.

Ten sposób prowadzenia polemik był na bliskim zachodzie już tak rozpowszechniony, że cieszyć się w tych czasach znaczyło tyle samo, co odgryzać palec samemu sobie.

Po przejściu przez erę mieczyków, erę petard, erę odpustowych wycieczek, epokę wieców eucharystycznych, wiek Berez i wybijania oczu (jak w niesławnym przypadku z Adolfem Nowaczyńskim) dowiedzieliśmy się, czego możemy się po sobie spodziewać.

Boleśnie odczuwało się wówczas brak bomby atomowej i z tego powodu podniesienie kultury umysłowej naszej zacofanej młodzieży natrafiało na tak poważne trudności.

Kiedy pogłoska o kapitulacji wojsk japońskich została w Krakowie uczczona wybrykiem upadającego hitleryzmu, też nie cieszyłem się jak dziecię. Cieszyć się w tych czasach z pogromu Żydów znaczy tyle samo, co cieszyć się ze zburzenia Warszawy, pląsać po miejscach egzekucji, pochwalać masowy mord, jakiego dokonali hitlerowscy siepacze od najdalej wysuniętego na zachód cypla Europy aż po najdalej wysuniętą na wschód mogiłę rosyjskiego żołnierza.

Nie przypuszczam, aby wśród Polaków był ktoś, kto cieszy się z tego hitlerowskiego wybryku.

Ale mimo to, mimo to, że nie przypuszczam, wiem, że chorób psychicznych nie leczy się środkami na ból zębów, a zwłaszcza chorób, wywołanych przez konszelacje Barana i Byka. Organizujące się życie materialne ułatwi z czasem organizację życia psychicznego, jak organizacja życia psychicznego ułatwi organizację życia materialnego.

Przekonany jestem, ba, mam to niezłomne przekonanie, że znaczna część naszych myślicieli, żyjących w obawie, aby któregoś dnia cała ludzkość nie została przerobiona na mące, spojrzy kiedyś ze wzgardą na plamy, które z narodu zrzuci, splunie ze wstrętem na miejsce, na którym stała, i zabierze się bodaj do pracy nad odwalaniem gruzów.

Znam wielu takich odwalaczy gruzów. Ze czcią obserwuję ich zbożną pracę. Zetknąłbym ich chętnie z reżyserami tego zajścia.

Życzyłbym im, aby własnoręcznie wydarli z głów niemieckich te pakuły, jakimi dysponowali swego czasu Mussolini, Rosenberg, Heidegger i inni.

Najlepiej bowiem pora się ze sobą społeczeństwo samo.

Społeczeństwo wprawdzie jest dosyć umęczone warunkami wojennymi, aby nie być zdemoralizowanym i słabym, — nie było wojny, po której społeczeństwo zyskiwałoby na świętości, za wyjątkiem wojen świętych, — ale stopień i jakość tej demoralizacji nie stanowią tak poważnych przeszkód, aby mówcy z Assyżu i przeróżni prorocy człowieczego sumienia nie znaleźli sposobu do wyprowadzenia na ludzi wilków z Gubbio.

Wmawia się w nas, wilków, że jesteśmy tacy a owacy, nasi dobrotliwi historiozofowie znajdują dość wapna i ciepłych słów, aby nas gryzły robaki sumienia, lecz wystarczy rzucić w tłum plotkę, jakoby kilku Żydów biło kilkaset polskich żołnierzy, aby sto pań w kapeluszach rzuciło się na stragany dwustu innych pań nie noszących kapeluszy.

Ta walka posiadających nieposiadaczy z nieposiadającymi posiadaczami nie jest pozbawiona znamion swawoli, posiada jednak wszelakie piętna tragedii, na którą pozwolić sobie w okresie upadku Japonii jest objawem zbyt histeriozoficznego oślepienia.

W centralnym rezultacie pada ofiarą żałosna resztka biedaków — i prochy ofiar, złączone w jednym z najstraszliwszych kolażeństw historii, na pewno zapadają się ze zgrozą.

Te prochy patrzą na nas, mówią o nas. Wszystkie na pewno mają nam wiele do zarzucenia.

Niestety, ponieważ nie mają one możności ingerowania w nasze sprawy, dlatego tak wielu ludzi pomniejszających zapasy tlenu w atmosferze umiera bez zarzuconej na szyję pętli.

Kiedyś, czasu głębokiej wojny, miałem w ręce pewną interesującą książeczkę. Książeczką tą był Hipolita Taine'a „Żywot i myśli pana F. T. Graindorge'a".

Wpadło mi w oczy takie zdanie o świniach: „Świnie, napadnięte przez niedźwiedzia, układają się w półkole, pokazują kły. Jeśli która oddali się i da się zjeść, krzyczą wszystkie razem, podnosząc łby. A potem zjadają resztki swej towarzyszki".

Zupełnie tak, jak między ludźmi.

Zanadto mało określamy siebie, obywatelki i obywatele! Klasyfikacja sprzyja poznaniu. Poznanie, to rozeznanie się w ciemnościach.

A ciemności są duże.

Tak duże, że łatwo sobie rozbić nos.

**Zygmunt Fijas**

---

**Wszystkie wydawnictwa, nadsyłane do redakcji, będą odnotowywane w specjalnej rubryce.**

**Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek, nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.**

**Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.**

---

W poprzednim numerze „Odrodzenia" z dnia 19 sierpnia: **Mieczysław Wionczek:** Narodziny Trzeciej Republiki. — **Stanisław Helsztyński:** Cranach, Szczecin i Piastowie. — **Jan Brzechwa:** Na ulicy Słowiczej. — **Alicja Iwańska:** Ziemia i więzienie. — **Julian Wołoszynowski:** Dedykacja. Testament. — **Maria Kuryluk:** Dno. — **Bolesław Dudziński:** Okruchy wspomnień. — **Kazimierz Zenon Skierski:** Łambinowice. — **Teodor Bujnicki:** * * *. — **Jerzy Andrzejewski:** O obronę człowieka. — **Mieczysław Jastrun:** Laurowo i ciemno. Kochankowie duchów. — **Jan Alfred Szczepański:** Rok 1945. Podłoże i wyniki Poczdamu. — Ankieta „Odrodzenia". W oczach pisarzy. Odpowiedź **Kazimierza Brandysa.** — **Js.:** Kronika kulturalna ZSRR. — Kronika ilustrowana. — **Karol Stromenger:** Muzyka w Łodzi. — **Jerzy Broszkiewicz:** „Powrót Odyssa". — Korespondencja: **J. Rużyło-Pawłowska** i **K. W. Zawodziński.** — 4 ilustracje. — 8 stron.

# Kronika ilustrowana

## STEFAN JARACZ NIE ŻYJE

STEFAN JARACZ
rys. E. Głowackiego

Stefan Jaracz po wyjściu z Oświęcimia
fot. M. Choynowskiego

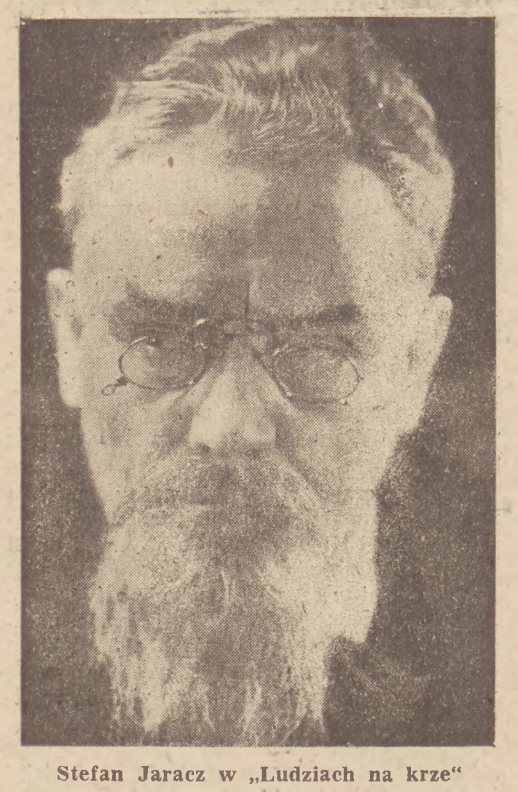

Stefan Jaracz w „Ludziach na krze"

Stefan Jaracz w „Dziewczynie z lasu"

# PRZEGLĄD PRASY

Tydzień ubiegły obdarzył nas pierwszym zeszytem dawno oczekiwanego miesięcznika literacko-krytycznego „Twórczość", wydawanego w Krakowie przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" pod redakcją naczelną Kazimierza Wyki, przy udziale kolegium w osobach: Leona Kruczkowskiego, Karola Kuryluka, Jerzego Putramenta, Jana Wiktora. Zeszyt pierwszy zredagował Leon Kruczkowski.

Znać dbałą rękę w oszczędnej, lecz pełnej smaku stronie zewnętrznej pisma. Układ graficzny 200-tu niemal stron druku posiada zalety celowości i umiaru, nie rażąc oka. Skromny gatunek papieru, który umożliwił piękny nakład 10.000, nie przeszkadza w odbiorze treści. Korekta nienaganna.

Słowo wstępne redakcji wyznacza zakres i cele miesięcznika:

**„Miesięcznik nasz pragnie być przede wszystkim wiernym odbiciem współczesnej twórczości w prozie i poezji, odbiciem tych przemian duchowych i społecznych ostatnich lat, które znalazły już wyraz w dziełach pisarzy. Termin twórczości jest tutaj zarazem pewną wskazówką oceny — pragniemy, by na łamach pisma znajdowały miejsce przede wszystkim utwory, które w dostępnej nam mierze są w dzisiejszej literaturze nowe, są — twórcze. Z tak pojętego zakresu pisma wynikną dalsze jego cechy. Dozna zawodu, kto by sądził, że tylko pewien typ stylu w prozie, pewna odmiana stylu w poezji będzie górować. Pismo na pierwszym swoim etapie będzie — sami ten przymiotnik kładziemy — różnolite. Będzie nim, ponieważ różnokierunkowa jest obecna twórczość polska. Dopiero wybór, konfrontacja na szeroką skalę, której areną pragnie być „Twórczość", dopiero wspólny eksperyment czytelnika i kierownictwa pisma zacieśni ten wybór zrazu rozległy. Co nie znaczy, by kierownictwo miesięcznika nie przeczuwało jego wyników, by czekało dopiero na objawienie. Pismo pragnie być przewodem dla sprawy realizmu humanistycznego i społecznego w prozie, przewodem dla pozostającego do wypracowania stylu w poezji."**

Pierwszy zeszyt pisma spełnia w bogatym rozmiarze swój cel przekazania czytelnikowi panoramy twórczości literackiej w okresie okupacyjnego milczenia. Znajdujemy w nim poezje Leopolda Staffa, Czesława Miłosza, Juliana Przybosia, Tadeusza Hołuja, Zbigniewa Bieńkowskiego; prozę Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Andrzejewskiego, Jalu Kurka, Jana Wiktora, Tadeusza Peipera; informacyjny essay Romana Dyboskiego o poezji amerykańskiej XX w.; rozważania o gospodarce niemieckiej na ziemiach polskich Kazimierza Wyki; dział spraw i trosk warszawskich (Wroczyński, Kołoniecki, Zawieyski, Malewska, Wionczek); sprawozdania krytyczne Kazimierza Czachowskiego.

Należy sądzić, że „Twórczość", która, jak wynika z przedsłowia redakcji, przyjęła w pierwszym okresie działalności zasadę tolerancji wobec różnolitych kierunków i postaw literackich, wkrótce da na swych łamach przystęp publikacjom mającym na celu wytyczanie myśli kulturalnej, proponowanie założeń intelektualnych dla dzieła oświecenia i odbudowy duchowej, mnożenie przesłanek w dyskusji nie tylko literackiej, ale obejmującej najszerszy krąg zagadnień społecznych jeszcze nie rozwiązanych. Stworzenie „przewodu dla sprawy realizmu humanistycznego i społecznego w prozie, przewodu dla pozostającego do wypracowania stylu w poezji" — nie da się osiągnąć na drodze wyłącznie krytyczno-literackiej. Najlepszym bowiem przewodem prądów, w których realizacji pismo widzi pożytek, będzie oświecona świadomość zbiorowa. Kształtowanie jej zasad, wybór pojęć, które stworzą jej niewzruszalne kategorie — powinny stać się trwałym elementem w działalności miesięcznika. Następny etap pracy redakcyjnej przyniesie zapewne, obok dalszych przejawów artystycznej twórczości literackiej, pierwsze owoce publicystyki społeczno-kulturalnej, której potrzebę odczuwa dziś zarówno umysł jednostki, jak i świadomość ogółu.

Potrzeba ta nie jest zaspokajana w wystarczającym stopniu. Brak materiału dla gruntownych przemyśleń nowej problematyki, którą objawiły pierwsze powojenne miesiące, nadal daje się we znaki w każdym niemal z wydawanych obecnie periodyków społeczno-literackich. Ostatnie dwa tygodnie przyniosły nowe numery „Kuźnicy", „Tygodnika Powszechnego" i „Odry". Przeciętnie oświecony inteligent polski nie znajdzie w nich treści, instruujących go w sprawach wagi kapitalnej dla świata jego wahań i wątpliwości. Poza pięknym essayem Jana Kotta o Tacycie („Kuźnica" nr 3), który, mimo odległości czasowej przedmiotu, zawiera posilną sumę analogii, prócz ściśle informacyjnego artykułu Włodzimierza Michajłowa o reformie szkolnictwa i Zjeździe Oświatowym — ze wszech stron cisza. Gdzież to w „Kuźnicy" zapowiadana we wstępnym manifeście kontynuacja zasad jej ideologicznych patronów: Jakuba Jasińskiego, Edwarda Dembowskiego, Ludwika Waryńskiego, których nazwiska, nie tylko myśli i dzieje, inteligent, w sanacyjnej szkole uczony historii, zna ledwie z dalekich słuchów? Czy nie wypadałoby ich przypomnieć?

Czego „Kuźnica" nie porusza wcale, to „Tygodnik Powszechny" (nr 21) porusza błędnie lub szkodliwie. Artykuł wstępny Wojciecha Kętrzyńskiego („Warszawa 1944") przedstawia powstanie warszawskie jako świadomy akt społeczeństwa w obronie honoru i godności narodowej. Autor wyświęca irracjonalne urazy psychiczne, czyni z nich zaszczyt i świętość. Ufny czytelnik katolickiego pisma wyciągnie z tej publikacji wnioski niszczące wielki pożytek, który pozostał po opłakanej szkodzie powstania: naukę o zbrodniczej głupocie jego sprawców.

H. Malewska poświęca szpaltę uczuciu miłosierdzia i czyni z niego instrument naprawy społecznej, posługując się stylem wiejskiego proboszcza na kazaniu niedzielnym:

**„Tam, gdzie zaczyna się miłosierdzie zaczyna się człowieczeństwo. Gdzie miłosierdzie jest silne, trwałe i ofiarne, tam i tylko tam jest chrześcijaństwo.**
**A nasze czasy wołają o zryw miłosierdzia tak potężny, jak zryw obrony przed wrogiem.**
**Jakie ono ma być, było, bywa to chrześcijańskie miłosierdzie?"**

Ze względów czysto praktycznych odradzamy autorce ponawiania tej formy wypowiedzi, albowiem nie zostanie wysłuchana przez czytelnika, który szuka sformułowań trzeźwych i zrównoważonych, raczej logicznych, niż sentymentalnych.

Sympatyczna „Odra" katowicka w n-rze 2-gim niewiele mniej poświęciła miejsca sprawom Tiutiurlistanu, kraju położonego w świecie wyobraźni Wojciecha Żukrowskiego, niż zagadnieniom śląskich ziem przyłączonych. Cenimy pióro młodego prozaika, ale jego „Kot-Mysibrat" powinien był odezwać się gdzie indziej. Raczej w łódzkim „Świerszczyku" niż w katowickiej „Odrze". **(kb)**

# Tajemnica El Alamein

**Trzy lata temu cały świat z napięciem śledził przebieg bitwy pod El Alamein, bitwy o dostęp do Suezu, która w swych konsekwencjach okazała się drugą — obok Stalingradu — przełomową bitwą drugiej wojny europejskiej. Major Peter W. Rainier był w ósmej armii Montgomery'ego szefem zaopatrzenia w wodę. Z książki jego, zawierającej wspomnienia o kampanii afrykańskiej, „Pipe line to battle", wyjmujemy poniższy rozdział.**

Większość ludzi na świecie przypuszcza, że ofensywa niemiecka w Egipcie, zatrzymana została pod El Alamein przez Brytyjczyków. Tak nie było. 3 lipca Rommel przełamał centrum brytyjskiego ugrupowania i resztki trzech pancernych dywizji wdarły się w tę lukę. Do zmroku przebyły one połowę drogi między El Alamein i Aleksandrią (80 km).

Następnego, najbardziej krytycznego w ciągu tej wojny dnia, rozegrał się na piaskach pustyni fantastyczny dramat.

Żołnierze Rommla widzieli już gołym okiem wieże Aleksandrii — cel, do którego dążyli uparcie w ciągu dwóch lat pustynnej wojny. Odpoczynek, żywność, woda — szczególnie woda dla wyschłego gardła — wydawały się tak blisko; tylko ręką sięgnąć po nie! Ruszyli naprzód.

Lecz nagle na pustyni między nimi a ich upragnioną zdobyczą wzbiły się tumany pyłu. Spowodowały je resztki brytyjskiej armii: 50 czołgów, kilkadziesiąt dział polowych oraz samochodów, wypełnionych zmęczonymi żołnierzami.

Na tym odcinku nieprzyjaciel miał prawie takie same siły: około 50 czołgów i również około 5000 ludzi. Różnica polegała tylko na sile ognia: Brytyjczycy nie mieli nic do przeciwstawienia niemieckim działom 88 mm.

Wynik tej bitwy i doniosłe jej skutki zależały od odwagi i męstwa niewielu ludzi. Gdyby tego dnia Brytyjczycy nie zatrzymali Rommla, Aleksandria musiałaby paść i cała Afryka byłaby stracona. Rosja zostałaby oskrzydlona od strony Kaukazu, a macki państw osi wyciągnęłyby się poprzez Azję w kierunku Japonii.

Poprzez cały ranek przeciwnicy tłukli się na rozpalonej pustyni. Ludzie po obu stronach byli tak wyczerpani, że ledwie umieli patrzeć i celować przez pył, zmieszany z błotem, który zalepiał im przekrwawione oczy. Obie strony były bliskie załamania się już na początku bitwy. Lecz załamanie po jednej lub po drugiej stronie nastąpiłoby wtedy, gdyby zawzięta wola walki zupełnie się wyczerpała.

Słońce stało w zenicie i prażyło niemiłosiernie. Brytyjczycy dochodzili już do granic swej wytrzymałości, gdy nagle Niemcy się załamali. Dziesięć minut później nastąpiłoby to samo po stronie brytyjskiej. Powoli, niechętnie, ociężale czołgi niemieckie poczęły wycofywać się z bitwy.

I wtedy stał się zdumiewający i nieprawdopodobny fakt. 1.000 żołnierzy 90-tej lekkiej dywizji pancernej, elity afrykańskiego korpusu Rommla, szło potykając się ku angielskiej linii bojowej, poprzez nagie piaski pustyni, z rękami podniesionymi do góry. Wzięcie do niewoli garstki tej dywizji dałoby sposobność brytyjskiemu pułkowi do chwalenia się tryumfem przez szereg miesięcy. Lecz poddanie się tych 1.000 ludzi samych, gdy droga do ucieczki leżała otworem, zakrawało po prostu na cud.

Gdy Niemcy kusztykając podeszli bliżej, tajemnica pustyni zaczęła się wyjaśniać. Spękane i czarne od zakrzepniętej krwi, zapuchłe języki Niemców wysunięte były z ust. Na wpół przytomnie chwycili manierki z wodą podane przez brytyjskich żołnierzy i chciwie sączyli łyki zbawczego płynu pomiędzy spieczone wargi. Rozmawiałem później z nimi i wtedy cała historia wyszła na jaw.

Gdy Niemcy przerwali się dnia poprzedniego pod El Alamein, byli już bez wody w ciągu 24 godzin. Lecz na porzuconych przez Brytyjczyków pozycjach odnaleźli sześciocalowy rurociąg wodny. W różnych punktach na odcinku długości dwóch mil wywiercili dziury w rurach i klęcząc zaczęli pić zimny, tryskający strumień wody. Ogółem piło około tysiąca ludzi i zdążyli oni przełknąć kilka mocnych łyków wody, nim spieczone gardła ostrzegły ich, że **woda była słona.**

Przez całą noc ludzie ci cierpieli niewymowne katusze. Dnia następnego jedynie myśl ugaszenia pragnienia w niedalekiej Aleksandrii podtrzymywała ich siły w pierwszych godzinach walki. Lecz gdy czołgi niemieckie zawróciły z pola bitwy, piechurzy nie potrafili dłużej znieść udręki. W całej masie przeszli na stronę brytyjską — aby otrzymać świeżą wodę.

Dlaczego rurociąg zawierał słoną wodę?

Przez cały okres kampanii pustynnej zaopatrywałem w słodką wodę ósmą armię, gdy pod jej koniec zdarzył się ten niesamowity zaiste wypadek. Rurociąg dopiero co wykończono i dla wypróbowania go i oczyszczenia użyto, jak zwykle, słonej, morskiej wody. Gdyby Niemcy przeszli przez El Alamein dzień wcześniej, znaleźliby rurociąg jeszcze pusty. W dwa dni później byłby pełen świeżej słodkiej wody. Tymczasem Niemcy napili się wody słonej, której smaku od razu nie mogli rozpoznać, gdyż przez używanie po drodze wody słonawej oraz przez wielkie pragnienie — zmysł smaku mieli znieczulony.

Równowaga sił w tym krytycznym dniu bitwy była tak chwiejna, że można było wierzyć Niemcom, że gdyby nie te słone tortury, przełamaliby opór brytyjski. I wtedy bezbronna Aleksandria wpadłaby w ich ręce.

Karty historii świata zapisane są często takimi niesamowitymi wypadkami. Dzięki nim losy ludzkości przybierały niejednokrotnie całkiem niespodziewany kierunek.

**Peter W. Rainier**

# Niemoralność „Niespodzianki"

Drugi pokaz Studia Starego Teatru w Krakowie (tym razem była to „Niespodzianka" K. H. Rostworowskiego, w reżyserii W. Goreckiego a oprawie dekoracyjnej A. Bunscha i A. Cybulskiego) utwierdził mnie równie silnie jak pierwszy w przekonaniu, że obawy o przyszłość teatrów polskich — jeśli chodzi o materiał aktorski — są płonne. Zarówno ilość talentów, jak i stosunek tych debiutantów do pracy: rzetelność, entuzjazm i rozsądek, dają prawdziwe powody do optymizmu.

Najbardziej interesująca okazała się tym razem Halina Romanowska, najbliższa wymaganiom stawianym przez rolę, chwilami dojrzała już tragiczka. Jej Matka i chyba Ojciec (Adam Mularczyk), to dwie pozycje najpoważniejsze — reszta aktorów, rzetelna, entuzjastyczna i rozsądna dała swą pracą całość godną uwagi i dalekich od konwenansu dobrych życzeń na przyszłość. Ale przez prostą uczciwość nie można pomijać wad spektaklu, a nawet należy je podkreślić. Używając surowych określeń wypada stwierdzić, że realizm przedstawienia był mimo wyliczonych zalet fałszem, a postacie choć ludzkie i znajome niedoli człowieczej były mniej lub więcej skłamane. Nie ustrzegł się tego błędu reżyser ani żaden z aktorów. Czuło się, że „chłopskość" tej sztuki jest falsyfikatem dalekim od tego życia, któremu chciał dać świadectwo Rostworowski.

Ale rehabilitując całkowicie reżysera i aktorów, stwierdzam, że wina jest tu w całości po stronie autora: „Niespodzianka", z zamysłu Rostworowskiego reportaż naturalistyczny, jest chybionym naturalizmem. Chłopi Rostworowskiego nie są chłopami z prawdziwego zdarzenia — ich język, myśli, gesty, łatwy ekshibicjonizm moralny może mogłyby być na miejscu w dramacie miejskiej biedoty — jako chłopi o ileż ubożsi są w prawdę od Boryny czy Ślimaka. I to, co zwykle ukrywała przed okiem widza rutyna doświadczonych aktorów, tym razem stało się faktem oczywistym: Rostworowski stworzył tylko pozory chłopskiego życia i nędzy.

Wojna nauczyła szacunku dla prawdy i dla tego, co zwykło się nazywać „morale". Kto w przeciągu ostatnich sześciu lat napotykał na zło jednostkowe i powszechne, powinien zgodzić się z owym szacunkiem.

I oto „Niespodzianka", nie spełniając postulatu prawdy omija także „morale". Jest ona tylko pozornie dramatem moralnym. To, że kara następuje po winie i rozpacz Matki jest równa swym ciężarem dzieciobójczej zbrodni, nie może być jeszcze dowodem moralności sztuki. Owa kolejność zbrodni i kary jest tylko nawykiem konwenansowego sumienia, szablonem oceny a w dramacie tylko pozorem. A to, że Antek powracający z daleka, by nędzę i ciemnotę rodziny zmienić w ład i dostatek, ginie z rąk tej nędzy i ciemnoty, usprawiedliwia tylko potrzeba tragizmu czysto teatralnego. Tragizmu, którego jedynym uzasadnieniem jest fabuła i konflikt sceniczny. I tą właśnie śmiercią Rostworowski wypowiada ostateczną konkluzję: sprawą ludzką rządzi bezsens — bezsens zwycięskiego zła.

Wypływa to z tego, że Rostworowski zapomniał o jednym: nie tylko wartości formalne usprawiedliwiają istnienie dzieła sztuki. Voltaire, nie posiadający się z oburzenia na wieść o trzęsieniu ziemi w Lizbonie nie był śmieszny, był nieco sfanatyzowany. Ale swym protestem chciał dać świadectwo wiary w pozytywny porządek świata. Rostworowski o tej wierze zapomniał lub nie chciał o niej pamiętać. I w tym właśnie leży niezbyt głęboko ukryty, ale głęboko antymoralny sens „Niespodzianki".

**Jerzy Broszkiewicz**

# Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu

Poznańscy historycy sztuki nie opuścili bezsilnie i bezradnie rąk w obliczu zniszczeń, jakie zastali w dziedzinie swej pracy, lecz przystąpili do działania z energią i uporem godnym największej sprawy. Muzeum Wielkopolskie od chwili przejęcia go przez polskie kierownictwo było terenem bezustannej pracy i wytężonych wysiłków. Ocalałe spośród ruin i zgliszcz, ucierpiało wiele od działań wojennych i samo stałoby się ruiną, gdyby nie natychmiastowa pomoc i zabezpieczenie. We własnym zakresie, z nielicznym personelem pracowników, bez dostarczenia jakichkolwiek materiałów budowlanych i kawałka szkła, potrafiono doprowadzić je do stanu użyteczności i dokonano tym samym dzieła niecodziennego. Sale wystawowe przedstawiały rumowisko gruzów i rupieci. Nieliczne ocalałe eksponaty walały się w brudzie i śmieciach lub stały zapakowane w skrzyniach, gotowe do transportu. Nie było ich niestety wiele, gdyż wszystko co cenniejsze zdążyli okupanci w 80% wywieźć. Ostatnich przesyłek dokonano jeszcze w końcu grudnia 1944 r., spieszno im było bardzo!

Muzeum nie ograniczyło się tylko do pracy wewnętrznej, lecz rozwinęło żywą działalność w terenie, zabezpieczając na prowincji i zwożąc w swoje mury cenne dzieła sztuki, ratując je przed zniszczeniem i rozsypką. Dzięki temu, otwierając swe sale dla zwiedzających, mogło pokazać zbiór eksponatów, który nie tylko jakościowo ale i ilościowo przedstawia całość poważną i wysokiej klasy.

Mimo że wystawa w salach Muzeum Wielkopolskiego jest pomyślana przede wszystkim jako pokaz ocalałych i odzyskanych zbiorów i tym samym powinna mieć charakter raczej doraźnego zestawienia, przedstawia już jednak pewien zespół, w którym wyczuwa się wyraźne metodyczne wytyczne. Poprzez sale, w których mieści się wystawa Związku Zawodowego Plastyków, dochodzimy do galerii zawierającej rzeźby. Mimo woli widz poddaje się nastrojowi podniosłości i powagi, jaki udziela mu się na widok zgromadzonych najcenniejszych dzieł naszej plastyki średniowiecznej, świadczących o cennym dorobku artystycznym ziem zachodnich. Postacie madonn i świętych, wydobyte z ciemnicy i oswobodzone z wieloletniego więzienia i niewoli, przemawiają znowu do nas ekspresją swoich form i uduchowieniem postaci i pełnych wyrazu oblicz. Najcenniejsze dzieła pracowni wielkopolskich od połowy XIV do początku XVI wieku są tu zgromadzone. Obok pięknej „Madonny z Dzieciątkiem" z r. około 1520 z Gniezna widzimy pełną bólu i przejmującą w wyrazie „Matkę Boską Bolesną" z r. około 1490 z Krobi. Z rzeźb kamiennych wystawiono „Madonnę z koronacji" z nagrobka Mieszka I i Bolesława Chrobrego z katedry poznańskiej, fundacji Kazimierza Wielkiego z r. około 1375. W salach następnych pomieszczono dzieła malarskie. Salę gotycką, obok wspaniałych obrazów malarstwa włoskiego i niderlandzkiego — „Navicelli" Bernarda Daddi z r. 1338, „Pokłonu Trzech Króli" Lorenza Monaco z pocz. w. XIV, „Świętej Rodziny" Joosa van Cleve z pierwszej połowy XVI w. i wielu innych, wypełniają cenne okazy malarstwa polskiego. Tryptyk gotycki z kościoła św. Jana w Poznaniu, wydobyty spod gruzów uszkodzonej świątyni i przewieziony do muzeum, nosi jeszcze bezlitosne ślady działań wojny. Ciekawa ikonograficznie jest kwatera ołtarza z męczeństwem św. Stanisława. Bogato jest reprezentowany, obrazami wysokiej klasy, renesans włoski z nazwiskami Cateny, Benvenuta Tisi da Garofalo, Bronzina i innych. Szereg ciekawych Holendrów i Flamandów reprezentuje malarstwo północne. W sali XVIII w. najcenniejszą pozycją jest „Elekcja króla Stanisława Augusta" pędzla Canaletta i seria szkiców olejnych Bacciarellego do obrazów historycznych w Zamku Królewskim w Warszawie. Najcenniejsze obrazy galerii, zgromadzone w jednej sali, tworzą zespół, godzien największych muzeów europejskich. Słynna Madonna Kartuzów Zurbarana. Strozzi, Carreno, Snyders, to perły Muzeum Wielkopolskiego. Bogate i cenne arrasy brukselskie i harmonizująca z nimi, inkrustowana kością słoniową broń siedemnastowieczna, dekorują ściany, podkreślając poważny nastrój muzealny. Ocalała głowa z modelu pomnika Chopina, rozbitego przez Niemców, makiety symboliczne z nazwiskami zamordowanych plastyków poznańskich i ze zniszczoną rzeźbą, gabloty z dokumentami i fotografiami, to momenty oskarżające wystawy. Mówią same za siebie i potępiają głośno. Skrwawiona paleta z wbitym w nią pruskim bagnetem i niesamowita wprost w swej ekspresji na wpół spalona rzeźba Matki Boskiej Bolesnej, przejmują do głębi i pozostają niezapomniane w sercu i umyśle, jako symbole martyrologii sztuki polskiej.

**Przemysław Michałowski**

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M—03914